

PISMO RUCHU TWÓRCZEGO OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

FILANTROP

n a s z y c h c z a s ó w

Nr (285) 8 • Poznań • sierpień 2018 • Nr indeksu 327948 • ISSN 1231-8876

Na zdjęciu Sandra Szłapka, uczestniczka Środowiskowego
Domu Samopomocy „Iskra” w Poznaniu.
Więcej w tekście „W Palmiarni głaskaliśmy ryby”.

Str. 27

FINANSUJĄ



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych



POWIAT
POZNAŃSKI

PATRONUJĄ



W NUMERZE:

Przez życie na kolanach
str. 4 i 5

W tych ludziach jest
siła str. 6 i 7

Informacje na wagę
złota str. 8 i 9

Inna twarz Anglii
str. 14-15

Serce niebieskich –
dzieciom str. 22 i 23

Piękni ludzie
str. 24 i 25

Riksza dla seniorów
str. 28

Kochane bez miłości
str. 30

O eutanazji str. 40

Zajęcia klubowe w WTZ

Rada Nadzorcza Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych zatwierdziła 12 czerwca program pod nazwą „Zajęcia klubowe w WTZ”, którego celem jest wsparcie osób z niepełnosprawnościami w rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz w dążeniu do samodzielności. O dofinansowanie takich zajęć będą mogły ubiegać się podmioty prowadzące warsztaty terapii zajęciowej.

Zajęcia klubowe kierowane są do osób z niepełnosprawnością posiadających ważne orzeczenie o stopniu niepełnosprawności bądź orzeczenie równoważne, które były uczestnikami WTZ i opuściły go w związku z podjęciem pracy, a także do osób z niepełnosprawnością, których zgłoszenie uczestnictwa w WTZ zostało zatwierdzone, ale które nie rozpoczęły terapii w WTZ.

Podmioty prowadzące warsztaty terapii będą mogły otrzymać dofinansowanie z pieniędzy PFRON znajdujących się w dyspozycji samorządów powiatowych, które przystąpią do realizacji programu. Wnioski samorządów powiatowych o przyznanie środków na realizację programu przyjmowane są w oddziałach PFRON właściwych dla siedziby samorządu do 31 sierpnia tego roku. Program „Zajęcia klubowe w WTZ” jest realizowany na terenie całego kraju. *Oprac. KK.*

ALDONA WIŚNIEWSKA
POZNĄ

*

*Kim byłeś? Kim jesteś?
Oceanarium
Pełne ciebie.
Deszcz pada
Z twoim imieniem.
Nie, już po deszczu.
Wątła gałąź zmarła
Dziś w nocy,
Trąbą anioła
Zawołana w niebyt.
Co takiego się stało,
Że my, że cud,
Że wszechświat?
Spiętrzona fala
Odetnie nam powietrze.*

WARSZTATY ARTYSTYCZNE POMOGŁY UWIERZYĆ W SIEBIE

Sztuka tworzona w lesie



Warsztaty nauczyły wykorzystywania wyobraźni.

Dwadzieścia osób z niepełnosprawnościami wzięło udział w warsztatach artystycznych zorganizowanych w dniach 16 – 19 lipca w Ośrodku Leśnym w Puszczykowie w powiecie poznańskim. To zwycięzcy i wyróżnieni w Powiatowym Przeglądzie Twórczości Artystycznej Osób Niepełnosprawnych „Złot Talentów”. Celem warsztatów było doskonalenie ich umiejętności oraz warsztatu pracy.

Zajęcia plastyczne, muzyczne, teatralne, a także tworzenie form przestrzennych, odbywały się pod kierunkiem profesjonalistów – plastyków, muzyków, wokalistów, aktorów. Dzięki trzydniowym warsztatom osoby z niepełnosprawnościami rozwinęły zdolności manualne, nauczyły się twórczego myślenia, orientacji przestrzennej, wykorzystywania wyobraźni artystycznej oraz wnikliwej obserwacji otaczającego świata.

Uczestnicy placówek rehabilitacyjno-terapeutycznych podczas zajęć prowadzonych przez instruktorów terapii zajęciowej nie mają okazji prezentacji swoich prac profesjonalistom danej dziedziny. Ci specjaliści nie znają danej niepełnosprawności i wynikających z niej ograniczeń, zatem łatwiej im obiektywnie ocenić wartość pracy. Wytwory osób z niepełnosprawnością często są na wysokim poziomie, a opinie artystów, wyrażone na warsztatach, ułatwiają dalszy rozwój twórczy.

„Złot Talentów” – to dorocz-

ne otwarte, bezpłatne wydarzenie, realizowane z myślą o potencjale artystycznym osób z niepełnosprawnościami. Organizatorem jest Fundacja Polskich Kawalerów Maltańskich „Pomoc Maltańska” prowadząca Dom Pomocy Maltańskiej w Puszczykowie. W tym roku odbędzie się szósta edycja „Zlo-

tu Talentów”. Finał planowany jest na 14 września, w Lubońskim Ośrodku Sportu i Rekreacji. Tradycyjnie będzie można obejrzeć występy muzyczne, spektakle teatralne, fotografie oraz prace plastyczne i dzieła wykonane w formie przestrzennej. Laureaci otrzymają nagrody rzeczowe. *Oprac. KK.*



Prezentacja obrazów o tematyce przyrodniczej.



Pamiątkowe zdjęcie uczestników, kadry i gości.



Warsztaty wokalne.

500 kilometrów biegu dla chorej Julki



Zdrowe nóżki małej Julki – to marzenie rodziców.

Julia Nieckarz pochodzi z Lubina w województwie dolnośląskim. Ma zaledwie dwa lata. Od urodzenia ma problemy z nogami. W przyszłości może być zdrową dziewczynką, ale potrzebne są pieniądze na kosztowne operacje. Jest dzieckiem uśmiechniętym i radosnym. Nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że rodzice robią wszystko, co w ich mocy, by miała sprawne obie nogi.

– Dzięki informacjom lekarza prowadzącego ciążę oczekiwaliśmy bobaśa zdrowego, pięknego, bez najmniejszej skazy. Nawet dwukrotne badania prenatalne nie wykazały żadnych zmian. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Gdy Juleczka przyszła na świat okazało się, że brakuje niektórych palców u obu jej nóg. Że są powyginane i krótsze niż u zdrowego nowo-

rodka. Zdjęcie RTG wykazało m.in. całkowity brak kości strzałkowej w prawej nodze, piszczel wygięty w łuk, grubszy i skrócony, szcztąkowy staw skokowy bez żadnego zakresu ruchu. Lewa nóżka była w nieco lepszym stanie, ale między innymi z widoczną niedorozwiniętą kością strzałkową i czteropalcową stopką – powiedziała pani Paulina, mama Julii.

Mimo to Julka dzięki długim i kosztownym rehabilitacjom – opłacanym z kieszeni rodziców, gdyż nie są refundowane przez NFZ – zaczęła chodzić w wieku 16 miesięcy. Było to bardzo trudne. Upadała co kilka kroków, ale wstawała i ponawiała próby. Niestety, pod wpływem ciężaru ciała kolanka wygięły się, doprowadzając do koślawości.

– Diagnozowaliśmy Julię w Poznaniu i tam chcieliśmy podjąć leczenie. Na szczęście dzięki rodzicom innych dzieci postanowiliśmy skonsultować Julię z jedynym na świecie specjalistą od tak poważnych wad wrodzonych kończyn. Obejrzał ją doktor David Feldman z Paley Institute na Florydzie. Odetchnął z ulgą, gdy powiedzieliśmy, że nie było jeszcze żadnej ingerencji operacyjnej. Szczepke powiedział, że prawej nóżki w Polsce nie naprawią, gdyż nie mają takich metod, sprzętu i doświadczenia, które by to umożliwiło. Julia musi przejść wieloletnią operację ustawienia stóp pod piszczel i rekonstrukcję stawów skokowych. Dodatkowo w prawej nodze trzeba przyciąć kość piszczelową, aby ją wyprostować i w pełni zrekonstruować staw skokowy. Na nogę ma być założony specjalny aparat, który ma wydłużyć kość i ustawić stopę w odpowiednim miejscu. W kolanka mają zostać włożone płytki korygujące tak dużą koślawość, która powstała mimo noszenia specjalnych butów ortopedycznych wykona-

nych na zamówienie – wyjaśniła mama dziewczynki.

Jedyną więc szansą na normalne życie dziecka jest operacja w Paley Institute, której całkowity koszt, łącznie z kilkumiesięcznym pobylem, to ponad 800 tysięcy złotych.

W pomoc dziewczynce zaangażował się Krzysztof Czerepak z Bolesławca, który zorganizował na www.polakpomaga.pl akcję zbiórki pie-



Maratończyk Krzysztof Czerepak w Paryżu.

niędzy na operację. Ale to nie wszystko. Chce zorganizować ze swoim kolegą Krzysztofem Pawlikiem autorski projekt biegu charytatywnego. Jego trasa ma przebiegać wzdłuż Bałtyku. Rozpocznie się w Świnoujściu przy granicy niemieckiej, a zakończy w Nowej Karczmie niedaleko granicy rosyjskiej. Trasa liczy około 500 kilometrów. Pan Krzysztof zamierza ją pokonać w niespełna dwa tygodnie. Oznacza to, że dziennie będzie miał do przebiegnięcia około 40 km. Tym biegiem chce rozpropagować zbiórkę dla Julii, a zebrane pieniądze przekazać na jej leczenie.

– O Julii dowiedziałem się czytając post zamieszczony na Facebooku. To było pierwsze dziecko, o którym przeczytałem. Intensywnie przygotowuję się do tego biegu, również pod okiem dietetyka. Wcześniej uczestniczyłem w biegach, ale amatorsko i na zdecydowanie krótszych dystansach. Ten będzie dla mnie dużym wyzwaniem, lecz jestem dobrej myśli tym bardziej, że robię to dla Julki – powiedział Krzysztof Czerepak.

Osoby, które chcą pomóc Julce mogą wpłacać pieniądze za pośrednictwem: www.polakpomaga.pl/kampania/bieg-charytatywny-dla-julki oraz Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”, numer konta: 42 2490 0005 0000 4600 7549 3994, tytułem „29696 Nieckarz Julia darowizna na pomoc i ochronę zdrowia”.

STANISŁAW FURMANIAK



Krzysztof Czerepak przebiegnie dla Julii 500 kilometrów wzdłuż Bałtyku, od Świnoujścia do Nowej Karczmy przy rosyjskiej granicy.

FOT. (3X) ARCHIWUM PRYWATNE



Karolina
Kasprzak
POZNAŃ

Wdeszczowy, pochmurny dzień teren Domu Pomocy Społecznej w Psarskim opustoszał. Wokół drzew nie ma już, jak dwa tygodnie wcześniej, kolorowych ozdób, rozstawionych stołów oraz krzeseł i gwaru przy nich, nie gra muzyka, a na placu, gdzie odbywały się tańce, widać tylko kilka samochodów. We wnętrzu zabytkowego pałacu, w którym mieści się DPS, i w sąsiadującym pawilonie, życie mieszkańców toczy się dalej.

Wąski korytarz na parterze prowadzi do kilkunastu pokoi. Drzwi do niektórych są otwarte. Niektórzy z powodu choroby leżą w łóżkach, inni oglądają telewizję lub czytają gazety. Po śniadaniu są zajęcia terapeutyczne w sali Ojca Pio, które trwają do 11.30. Pół godziny później jest obiad, potem do wieczora czas wolny. Pobyt w domu pomocy społecznej nie daje wielu alternatyw spędzania czasu. Mało kto trafia tu z własnego wyboru. Nowi mieszkańcy, którzy pod opiekę DPS-u przekazują najbliżsi, czasem słyszą od nich, że „to na jakiś czas”, że „to sanatorium”. Ale to nie sanatorium. Godziny i dni mijają. Kilka tygodni zamienia się w kilkanaście lat.

Odwiedzamy Marię Siewruk, która w tym DPS-ie mieszka od 22 lat. Choruje na łuszczycowe zapalenie stawów. Choroba ta atakuje kości powodując ogromny ból. Atakuje również inne organy jak oczy czy serce, niekiedy bywa przyczyną przyspieszonego rozwoju miażdżycy. Ma podłoże genetyczne, ale może być spowodowana także zakażeniami wirusowymi i bakteryjnymi, długotrwałym stresem czy urazami mechanicznymi. Charakterystyczne w tej chorobie są deformacje stawów – np. skrócone palce w wyniku zniszczenia kości. Skóra jest mocno zaczerwieniona. Widać na niej czerwone grudki ze zrogowaciałą powierzchnią przypominającą srebrne łuski.

Maria Siewruk ma również skoliozę (jej kręgosłup

jest bardzo cienki i krzywy). Nie chodzi samodzielnie, tylko na kolanach. Zdeformowane stopy nie byłyby w stanie utrzymać ciężaru całego ciała. Delikatna i wrażliwa skóra na kolanach jest zdarta do krwi. Rany opatruje plasterkami, a na kolana zakłada ochraniacze. Żaden zdrowy człowiek nie wytrzymałby chodzenia w takiej pozycji choćby godzinę, ona znosi to nieustannie, dzień po dniu. Dłonie ma zaciśnięte w pięści – palców nie może wyprostować.

Najpierw umarł na raka żołądka jej ojciec, parę lat później, na raka trzustki – matka. Ma czwórkę rodzeństwa. Jeden z braci także nie żyje. Pochodzi z Brodniczki, niewielkiej wsi w województwie wielkopolskim położonej na północ od Brodnicy, przy drodze krajowej z Żabna do Ludwikowa. Do DPS-u w Psarskim trafiła, bo znajdował się najbliżej jej miejsca zamieszkania. Od początku miała świadomość, gdzie jest i że do domu nigdy nie wróci.

– Nie było łatwo – wspomina siedząc na tapczanie z nogami opartymi o podpórkę: coś w rodzaju małej pufy. – Myślałam, że w rodzinnym domu będę do końca życia, ale stało się inaczej. Nie miałam na to żadnego wpływu, nie mogłam nic zrobić.

W małym przytulnym pokoiku, liczącym zaledwie kilka metrów kwadratowych, ma swój azyl. Tapczan, stół dla gości do kawy i herbaty oraz do podlewania kwiatów, zlewozmywak, szafka na ubrania, pościelenie i obrusy, talerzyki, półki z pamiątkami, telewizor oraz inne niezbędne rzeczy codziennego użytku, w tym leki i opatrunki. Niemalże wszystko, co większość ludzi mieści w mieszkaniach liczących kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt metrów kwadratowych. O bałaganie mowy nie ma – zawsze panuje u niej ład i porządek.

Sama sprząta, zalewa wrzątkiem herbatę i kawę, podlewa kwiaty, kroi owoce i warzywa, przygotowuje proste potrawy nie wymagające

Przez życie



Krojenie brzoskwiń na kawalki, mimo niesprawnych rąk, nie stanowi problemu.

gotowania i pieczenia jak na przykład sałatki. Jedynie kurze na usytuowanych wyżej półkach czy szafkach wyciera jej przyjaciel, a pielęgniarka z DPS-u składa i rozkłada jej tapczan oraz myje plecy.

Na co dzień Marii Siewruk towarzyszy Włodzimierz Ławniczak, również mieszkawiec DPS, który jest po prawostronnym wylewie. Przy powitaniu nie może uściśnąć dłoni, ale za to obdarza ciepłem i serdecznością. Taką, jakiej często brakuje ludziom, których spotykamy w autobusach i tramwajach czy mijamy na ulicy.

– Poznaliśmy się 17 lat temu, w tym Domu. Poszłam do naszego ambulatorium, a tam słyszę, że jakiś mężczyzna siedzi sam i może do-

trzymałabym mu towarzysztwa? Dotrzymałam, zaprosiłam do swojego pokoju, bo lubię ludzi. Moja śp. mama powtarzała mi: „Bądź dobra dla innych, a inni będą dobrzy dla ciebie” – wspomina.

Włodzimierz przyszedł do Marii pierwszy raz, potem następny i kolejny. Świetnie się rozumieją. Połączyły ich wspólne troski i radości. Od tej pory są przyjaciółmi. Wspierają się w trudnościach. Oboje korzystają z wózków elektrycznych, dzięki którym mogą choć na chwilę opuścić budynek DPS-u, żeby zrobić zakupy w pobliskiej galerii „Polonia” w Śremie, czy po prostu odbyć krótki spacer, gdy jest ładna pogoda. Używanie wózków manualnych, czyli takich, gdzie trzeba samemu

– na kolanach



Maria Siewruk podczas podlewania kwiatów.

popychać koła rękoma, w ich przypadku jest niemożliwe.

– Mój wózek jest jakiś pechowy – żali się Siewruk. – Już kilka razy mi nawalił. Parę dni temu przywieziono go od naprawy. Kosztowała mnie ponad tysiąc złotych. Musiałam sfinansować koszt naprawy za pożyczone pieniądze, bo moje dochody są bardzo skromne. 70 procent dochodu zabiera mi DPS, który kosztów naprawy wózka nie pokrywa, bo te 70 procent jest przeznaczane na utrzymanie. Każdy mieszkaniowiec używający takiego wózka musi koszty naprawy pokrywać z własnych pieniędzy. Sama ładowarka do akumulatora kosztuje 800 złotych, wymiana joysticka (służącego do kierowania wózkiem) – około 1500 – do 2 tysięcy złotych, wymiana baterii – około 1800 złotych. Do tego dochodzą jeszcze koszty pracy i dojazdu osoby wykonującej zlecenie. Bez wózka czuję jakby odebrano mi wolność. Jest on dla mnie tak ważny, jak dla zdrowego człowieka nogi.

W błędzie jest ten, kto uważa, że życie w domu pomocy społecznej jest bezproblemowe. Panuje powszechne przekonanie, że w DPS-ach ludzie schorowani, starsi i wymagający pomocy nie muszą się o nic martwić. Mają przecież dach nad głową, wyżywienie, czystą pościel, wypraną odzież...

I mają też wiele trosk. Jak żyć bez niepokoju, kiedy nie ma za co wykupić leków i środków opatrunkowych? Tylko niektóre lekarstwa są refundowane. Za pozostałe trzeba płacić z własnej kieszeni. Nawet, jeśli mieszkaniowiec refundację otrzyma, nie jest to stuprocentowa refundacja, czyli trzeba dopłacić. Większość tych ludzi czuje się osamotniona w swoim

cierpieniu, bo krewni nie zawsze chcą i mogą pomóc.

– Zamierzałem starać się o dofinansowanie na wózek, ale mam udokumentowaną orzeczeniem drugą grupę inwalidzką, więc nie było szans. Niedawno stanąłem ponownie przed komisją i czekam na pisemną decyzję. Jest nadzieja, że wkrótce otrzymam nowe orzeczenie z pierwszą grupą i wówczas będę mógł wystąpić z wnioskiem o dofinansowanie w ramach programu „Aktywny Samorząd” – mówi W. Ławniczak.

Odrębną sprawą są wysokie koszty rehabilitacji. Siewruk pięć razy z rzędu dostała odmowną decyzję w związku ze złożonym wnioskiem o dofinansowanie kosztów pobytu na turnusie rehabilitacyjnym, choć ma orzeczoną niepełnosprawność w stopniu znacznym. Powód? Wyczerpany limit środków. W tym roku, podobnie jak Włodzimierz, który również kilkakrotnie dostał odmowę dofinansowania z powodu braku pieniędzy, na turnus nie pojedzie.

– Kiedyś miałam skórę czerwoną jak rak. Nawet bluzka ją podrażniała, szczególnie w okolicy szyi. Było to niemożliwe do wytrzymania. Teraz mam specjalną maść i tabletki, które łagodzą złuszczenie się skóry. Niestety, są bardzo drogie, ale na szczęście w pewnym stopniu refundowane. Gdyby nie były, za jedno opakowanie tabletek musiałabym zapłacić aż 450 złotych. Nie mam takich pieniędzy. Lekarz zalecił mi zażywać dwie tabletki dziennie, a ja biorę jedną – z oszczędności, żeby lekarstwo na dłużej wystarczyło. Im szybciej zużyję opakowania, tym częściej będę musiała dokładać do kosztów zakupu leku – wyznaje M. Siewruk.

Czytelnicy „Filantropa Naszych Czasów”, którzy chcieliby pomóc finansowo w pokryciu kosztów leczenia i rehabilitacji Marii Siewruk oraz Włodzimierza Ławniczaka, mogą przekazywać darowizny na konto: 63 9084 0003 2001 0004 0107 0001 z dopiskiem: „Na leczenie i rehabilitację Marii Siewruk i Włodzimierza Ławniczaka”.



Z niezawodnym przyjacielem Włodzimierzem Ławniczakiem.

Słowo „rehabilitacja” kojarzy się najczęściej z kolejkami, odległymi terminami, szpitalnymi korytarzami. Często też z brakiem zrozumienia dla indywidualnych potrzeb i sytuacji pacjenta. Nie od dziś wiadomo, że publiczna opieka medyczna pozostawia wiele do życzenia. Długotrwałe oczekiwanie na rehabilitację jest szczególnie niekorzystne w przypadku osób poszkodowanych w wypadkach komunikacyjnych i przy pracy.

Dla poszkodowanych w takich wypadkach właśnie, w 2008 roku działalność rozpoczęło Polskie Centrum Rehabilitacji Funkcjonalnej (PCRF) Votum w Krakowie. Centrum jest niepubliczną placówką medyczną. Pojęcie „rehabilitacja funkcjonalna” oznacza, że jest to rehabilitacja w pełni dostosowana do stanu pacjenta oraz kładąca nacisk na przywrócenie u niego zaburzonej funkcji.

W ciągu dziesięciu lat działalności Centrum stopniowo poszerzało zakres działań. Początkowo placówka miała na celu przede wszystkim zapewnienie opieki osobom najbardziej poszkodowanym w wypadkach, w tym – w stanie wegetatywnym, po amputacjach oraz z innymi poważnymi urazami. Od niedawna celem PCRF jest również wybudzenie osób dorosłych ze śpiączki.

– To w ludziach jest siła – w ich wiedzy, doświadczeniu i pracy zespołowej. Każdemu pacjentowi poświęcamy się z równym zaangażowaniem. Wychodzimy naprzeciw najtrudniejszym problemom. Często poszukujemy niestandardowych rozwiązań – mówią o sobie specjaliści Centrum.

Słowa te są misją placówki. Każdego dnia realizowany jest jej kluczowy cel – przywracanie pacjentom utraconej sprawności. Dzięki intensywnej pracy zespołu rehabilitantów i fizjoterapeutów pacjenci przekonują się, że mimo niepełnosprawności można żyć z pasją. Do tej pory z pomocy Centrum skorzystało ponad dwa tysiące osób. Każda z nich to inna historia.

Marcin Horbacz w 2017 roku uległ wypadkowi komunikacyjnemu. Samochód przewodził jego kolega. Wyrzuciło ich na zakręcie. Kiedy obudził się, nie mógł ruszać rękami ani nogami. Rozpozna-

W tych ludziach



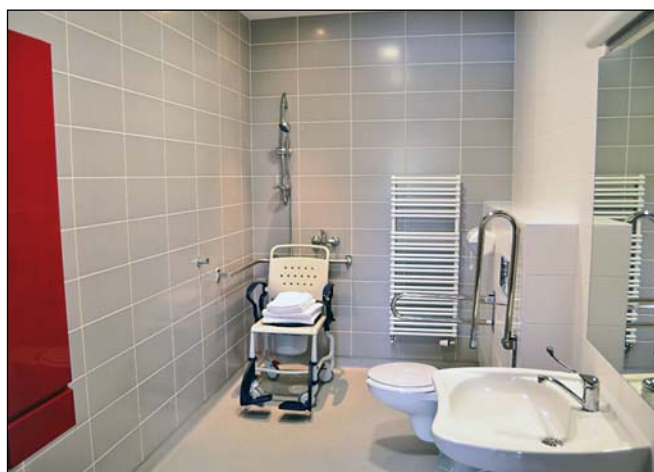
Marcin Horbacz przygotowuje się do zajęć rehabilitacyjnych w Polskim Centrum Rehabilitacji Funkcjonalnej Votum S.A.

no u niego uraz wielonarządowy, złamanie trzonu kręgu C6 i C7, wyrostków stawowych C3, C6 i C7 oraz ostrą niewydolność oddechową. W szpitalu spędził dwa miesiące. W tym czasie był poddawany leczeniu i rehabilitacji. Choć stopniowo odzyskiwał częściową sprawność, jego stan psychiczny się nie poprawiał. Z rodzicami Marcina skontaktował się doradca odszkodowawczy Votum S.A. Zaproponował pomoc w uzyskaniu odszkodowania dla ich syna i przedstawił ofertę programu „Pierwsze kroki”. Dwa miesiące po sformułowaniu roszczeń oraz przedstawieniu ich ubezpieczycielowi na konto Marcina wpłynęło sto tysięcy złotych. Pełnomocnik wspierał go również podczas postępowania karnego i przesłuchania w charakterze pokrzywdzonego w wypadku.

M. Horbacz został objęty programem „Pierwsze kroki”, dzięki któremu możliwe było m.in. dostosowanie mieszkania rodziców Marcina do jego obecnego stanu i wymagań. Dzięki kompleksowej pomocy Votum S.A. został objęty także rehabilitacją w PCRF. Jak mówi, w Centrum odżył, bo rehabilitanci nie traktują swojej pracy jak obowiązku, ale jak misję. W odzyskaniu wiary we własne możliwości pomógł mu również Rafał Mikołajczyk, prezes Fundacji Votum, koor-



Poczekalnia Polskiego Centrum Rehabilitacji Funkcjonalnej.



Łazienka w pełni przystosowana do potrzeb osób z ograniczeniami sprawności.

jest siła



FOT. (4X) ARCHIWUM VOTUM S.A.

Ćwiczenia usprawniające.

dynator programu „Pierwsze kroki”. Dużym przeżyciem dla Marcina było skorzystanie z egzoszkieletu, dzięki któremu mógł się wyprostować, a nawet przejść kilka kroków.

Obecnie z usług PCRF korzystają przede wszystkim pacjenci po amputacjach, z urazami rdzenia kręgowego oraz czaszkowo-mózgowymi. To osoby poszkodowane w wypadkach, za które ubezpieczyciel OC sprawcy wypadku powinien wziąć odpowiedzialność, czyli pokryć koszty leczenia i rehabilitacji. Niestety, w wielu przypadkach, aby do tego doszło, konieczne jest wystąpienie na drogę sądową.

Pracownicy Centrum pomagają nie tylko w procesie rehabilitacji, ale również w pozyskiwaniu środków na pokrycie kosztów związanych z rehabilitacją. Poszkodowany w wypadku nie może sobie pozwolić, aby odłożyć rehabilitację do momentu decyzji sądu.

Nadzieję dla osób będących natomiast w stanie śpiączki

nie jest jedyny kontrakt realizowany przez PCRF przy współpracy z NFZ dotyczący wybudzania osób dorosłych ze śpiączki. To ogromna szansa dla poszkodowanych i ich rodzin, których z wielu względów nie stać na opłacenie długoterminowej rehabilitacji.

Centrum początkowo świadczyło wyłącznie usługi ambulatoryjne, natomiast obecnie świadczy następujące rodzaje

działalności leczniczej: stacjonarne i całodobowe oraz ambulatoryjne świadczenia zdrowotne. PCRF to obiekt nowoczesny i innowacyjny, zarówno pod względem infrastruktury, zatrudnianego personelu, jak i stosowanych rozwiązań. Korytarze Centrum nie przypominają szpitalnych, a poszkodowanym często towarzyszą najbliżsi, którzy podczas rehabilitacji mieszkają z nimi, co jest zjawiskiem nie-

spotykanym w publicznej służbie zdrowia. Pacjenci Centrum mogą korzystać ze specjalistycznego sprzętu rehabilitacyjnego jak egzoszkielek czy cyber-oko. Pracownicy PCRF to młody, zaangażowany zespół, który systematycznie uczestniczy w szkoleniach, dzięki czemu nie tylko doskonalą swoje umiejętności, ale może też zapewnić pacjentom jak najlepszą opiekę.

Spółka Votum S.A. zapewnia rehabilitację i profesjonalne wsparcie poszkodowanym w wypadkach (w ramach wyżej wymienionego PCRF i Fundacji Votum), ale przede wszystkim pomaga w uzyskaniu odszkodowania i świadczeń rentowych. Prowadzi sprawy, którymi wcześniej zajmowało się Votum bądź inni pełnomocnicy, sprawy, które zakończyły się wyrokiem sądowym lub ugodą, a także sprawy, w których ustalono prawo do renty albo niezasadnie odmówiono jej przyznania i takie, w których nie zgłoszono renty, mimo że są do tego podstawy. *Oprac. KK*

KONTAKTY DLA POSZKODOWANYCH W WYPADKACH

Poszkodowani w wypadkach komunikacyjnych, rolniczych i przy pracy, którzy potrzebują pomocy, a także ich bliscy, mogą kontaktować się telefonicznie z Piotrem Krzysztofiakiem, specjalistą Votum S.A dla całego kraju: 605 031 595, piotr.krzysztofia@votum-sa.pl oraz z Centralą Votum S.A. przez infolinię: 800 217 417.

Centrala Votum S.A. mieści się przy ul. Wyścigowej 56i we Wrocławiu. E-mail: biuro@votum-sa.pl, www.votum-sa.pl

Polskie Centrum Rehabilitacji Funkcjonalnej spółki Votum mieści się w Krakowie przy ulicy Golikówka 6. E-mail: biuro@pcrf.pl, ambulatorium@pcrf.pl, tel. 12-264-80-35.



Marek
Kalbarczyk
WARSZAWA

Od kilkunastu miesięcy opowiadam, jak to jest nie widzieć. Czy opowiedziałem już wszystko? Jeszcze nie. Na podstawie dotychczas napisanych artykułów wytłania się jakaś „niewidoma” rzeczywistość. Jest ponura, gdy się o nią nie dba, a może być całkiem miła w przeciwnym razie. Ja staram się o nią dbać. Mimo braku wzroku udało mi się zorganizować wszystko tak, by życie interesująco.

To tak samo proste, jak skomplikowane. Gdy się jest pozytywnie nastawionym do życia i innych ludzi, wszystko może być proste, gdy jednak postrzega się świat negatywnie, nawet dobre rzeczy mogą być odbierane pesymistycznie.

Co pomaga niwelować skutki niepełnosprawności wzroku? Optymistom dokładnie wszystko, pesymistom w zasadzie nic. Widać stąd, jak ogromne znaczenie ma psychika, a w jej ramach nastawienie do życia. Gdy zawężymy te rozważania do grupy pierwszych z wymienionych osób, najważniejsza jest umiejętność wykorzystania każdego argumentu w celu niwelowania trudności. Często określałam to staraniami by widzieć, mimo że się nie widzi. Wtedy potrafię opowiadać o trzecim oku, które nie jest tym hinduistycznym trzecim okiem, ale konkretną, wykształconą zdolnością do przedstawiania sobie w oczach wyobraźni otoczenia niewidocznego, znaczącego niewidzialnego i to na podstawie wszelkich innych bodźców docierających do naszych zmysłów. Gdy się tego nauczymy, czujemy się, jakbyśmy wszystko widzieli. Wtedy nawet nie bra-

kuje nam obrazów. Owszem, są dosyć marne, niewyraźne, niekonkretnie, mało kolorowe i niekoniecznie zgodne z rzeczywistością, ale mają tę zaletę, że w ogóle są.

Jakie zadanie ma wykonać wspomniany przeze mnie w jednym z wcześniejszych artykułów algorytm przetwarzający różnorodne bodźce na wyobrażeniowy obraz, który powstaje jakby przed naszymi oczami? Otóż algorytm ten ma odblokowąć dostęp do informacji. Nie widzimy, więc nie wiemy o naszym otoczeniu prawie nic, to znaczy wiemy tyle, ile można wiedzieć dzięki innym zmysłom. W naszym przypadku chodzi głównie o dotyk i słuch. Jak jednak „ogarnąć” napływające do tych zmysłów bodźce, a więc informacje, gdy mają one w zasadzie charakter liniowy – docierają do nas przecież jedna po drugiej. Wzrok ma odmienny charakter. Obrazy nie „przybiegają” do naszych oczu pixel po pixelu, lecz całe naraz. Właśnie dzięki temu można dowiadywać się o otoczeniu błyskawicznie. Zadaniem wspomnianego algorytmu jest zamiana liniowo uporządkowanych bodźców informacyjnych na postać mniej więcej dwuwymiarową. Należy dodać, że trzeci wymiar stanowi już tak trudne wyzwanie, że pada ofiarą sensownego kompromisu. Niewidomi w ogromnej większości nie mają czasu i „mocy obliczeniowych” na trzeci wymiar, a więc na wychwytywanie z otoczenia informacji o głębokości i perspektywie, zakodowanych w obrazie widzianym oczami.

Dlaczego warto wykształcić w sobie zdolność do two-

Informacje



Godziny otwarcia i nazwa restauracji w brajlu.

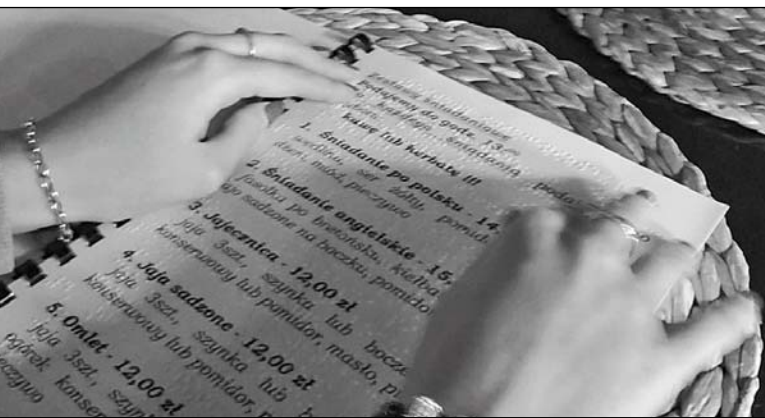
zenia wyobrażeniowych obrazów, tworzonych na podstawie bodźców innych niż wzrokowe, czyli umiejętność przetwarzania bodźców liniowych, jednowymiarowych na dwuwymiarowe, płaszczyznowe? Przecież tak czy inaczej odbieramy informacje i możemy je analizować jedna po drugiej. Cenię tę zdolność, ponieważ dzięki niej wiem o wiele więcej. Tworzenie wyobrażeniowego obrazu odbywa się automatycznie, bez mojego (specjalnego) udziału, toteż potrafię przyjąć mnóstwo różnych informacji i wykorzystać je do tworzenia tych wyobrażeń. Jako że proces ten jest automatyczny, realizuje się szybko. Gdybym miał zastanawiać się nad każdym bodźcem pojedynczo, nigdy z niczym bym nie zdążył. A tak obrazy tworzą się jeden po drugim. Pomiędzy sobą różnią się one albo bardzo, albo jedynie nieznacznie – zależnie od dynamiki otoczenia. Nawet gdy tego sobie nie uświadamiam, wychwytyuję z tych obrazów to, co jest ważne i decyduję o moim działaniu na tej podstawie.

Jak to Państwu przystępnie wyjaśnić? Wyobraźmy sobie sytuację, w której znajduje się niewidomy. Założmy, że jest dobrze zrehabilitowany, jego zmysły nie są w żaden sposób uszkodzone, dobrze orientuje się w przestrzeni i nie jest ociężały, lecz przeciwnie – ruchliwy i elastyczny. Tenże niewidomy właśnie wstał z krzesła w restauracji, wyciągnął z tylnej kieszeni białą laskę i uwolnił z uwięzi jej elementy. Ona się wyprostowała, stuknęła jej końcem w podłogę i ruszył do przodu. Gdzie ma iść? Nie wiedział, chociaż wszy-

scy widzący siedząc na sali to widzą. Toaleta jest na lewo, 10 metrów od niego. Najpierw należy pójść do przodu, by ominąć dwa stoliki, następnie skrócić właśnie w lewo, a po dotarciu do ściany należy skrócić jeszcze raz w lewo, przesunąć się o jakiś metr i sięgnąć do klamki drzwi.

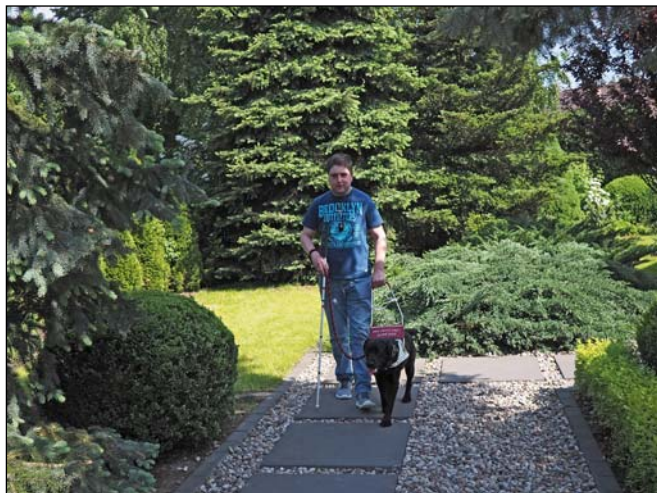
Niewidomy gość nie jednak o tym nie wiedział, dopóki nie zapytał swojej towarzyszk. Ona powiedziała mu o trasie tam prowadzącej, zapamiętał ją i już ma przed oczami wyobraźni ten wyobrażeniowy obraz. Wstał więc, przygotował do pracy laskę i ruszył. Gdyby nic dodatkowego nie usłyszał, zrealizowałby dokładnie to, co mu powiedział. Gdy jednak w połowie drogi dociera do jego uszu specyficzny dźwięk, zmienia się sytuacja. To dźwięk krzesła odsuwanego od stołu. Najwyraźniej inny gość skończył jeść i zbiera się do wyjścia, a może do tej samej toalety lub do kasy? Nie ważne. Niewidomy wodzi białą laską po podłodze, tak, tak, zdecydowanie ostrożnie i delikatnie, uważnie – pół metra w lewo i pół w prawo, by wymaczyć przed sobą tor, po którym się porusza o szerokości jedynie nieco większej niż jego własny format i bierze do przodu.

Teraz usłyszał dźwięk odsuwanego krzesła i wie, że pochodzi z przestrzeni przed nim, w odległości mniej więcej jednego metra od jego stóp. Przed chwilą miał przed oczami w wyobraźni obraz restauracji zgodnie z tym co zdołał odnotować, a więc na jego drodze dwa stoliki, o których powiedziała mu towarzyszk, dalej wolną ścieżkę prowadzą-

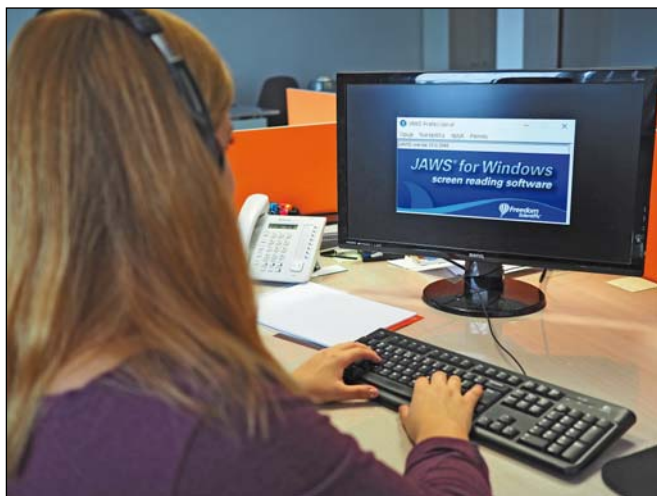


Jadłospis także w brajlu.

na wagę złota



Niewidomy na spacerze.



Komputer przystosowany dla niewidomych.

ca do ściany, kolejną prowadzącą wzdłuż niej do drzwi toalety. W tym obrazie ma także inne rzeczy, o których tutaj nie opowiem, bo o nich do tej pory nie wspominałem. Być może siedząc przy stoliku niewidomy usłyszał inne dźwięki, które wpłynęły na automatyczne uszczegółowienie obrazu. Teraz jednak nie ma to znaczenia. Nagle usłyszał to krzesło i bez jego świadomej decyzji wyobraźniowy obraz się zmienił.

Oto na jego drodze widzi już krzesło odsunięte od stołu, gościa, który najpierw stoi pomiędzy krzesłem i stołem, a następnie okrąża je i chce ruszyć do swojego celu. Niewidomy nie wie, co właściwie robi ten gość, wobec czego automatycznie zakłada to, co jest najbardziej

prawdopodobne. Pewnie gość widzi go i uwzględnia w swoim działaniu. Najprawdopodobniej wstał i wyszedł zza krzesła, ale gdy był obok, zatrzymał się. Przecież nie będzie dążył do kolizji. Być może jednak jest inaczej! Niewidomy uświadamia sobie to i kalkuluje, co zrobić. Dochodzi do wniosku, że gość czeka, więc śmiało idzie do przodu, jednak po pokonaniu metra, jaki go dzielił od krzesła, wykonuje manewr omijania i idzie dalej lekkim łukiem. W języku samochodowym nazywa się to objazdem. Mija krzesło i stojącego tam gościa, dochodzi do skrzyżowania i idzie dalej.

Opisana scenka nie trwa zbyt długo. Akcja toczy się szybko i nie daje szans niewidomemu, by mógł dowiedzieć się wszystkiego. Działa więc na podsta-

wie bardzo ograniczonego zbioru informacji. Docierają do niego na różne sposoby, a jego cudowny algorytm przetwarza je na obraz, który tak „pięknie” ułatwia niewidomym poruszanie się w przestrzeni.

Podobnie, choć na innych zasadach, jest z dotykaniem. Wszystko, co dotkniemy wpływa na obraz i pomaga nam. Niewidomi łakną tych bodźców jak dżdżu głównie dlatego, że nawet wtedy, gdy zbierzemy maksymalną dostępną ilość informacji, będzie ich za mało, wielokrotnie mniej niż pozyskują ludzie widzący. Staramy się więc jak najwięcej słuchać i dotykać. Chętnie korzystamy też z kolejnych zmysłów: węch, smak, zmysł przeszkód, ale one mogą być jedynie dodatkiem do informacji o zasadniczym znaczeniu. Trudno się więc dziwić, gdy niewidomy przechodząc nieustannie nadstawia uszu albo wyciąga białą laskę czy rękę, by coś usłyszeć i wymacać. Jako że nie wygląda to najlepiej, w procesie rehabilitacji, podczas szkoleń i po nich niewidomi muszą zadbać o pewnego rodzaju elegancję. Nie mogą przecież nadstawiać uszu idiotycznie kręcąc głową albo macać wszystko do woli, ile tylko przyjdzie im do głowy. Niestety, tak nie wolno. Należy czuwać, by zarówno zdobyć ważne informacje, jak i „wyglądać do ludzi”. Mimo, że tak bardzo potrzebujemy wiedzieć co nas otacza, musimy również dbać o wrażenia estetyczne i związane z tym sympatię innych osób.

Czy już rozumieją Państwo

wagę informacji, które „opisują” nam otoczenie? Tak, tak, bez nich niewidomi w ogóle by się nie poruszali. I proszę sobie wyobrazić, że są tacy. Czy to z powodów rehabilitacyjnych, braku orientacji w przestrzeni, czy z powodu złego stanu słuchu czy dotyku, żyją, że tak powiem, statycznie. Wydaje się im, i to nie bez racji, że gdy tylko się poruszają, zaraz gdzieś się uderzą, rozbiją. Gdy jednak mamy do czynienia z niewidomymi, którzy nie cierpią na dodatkowe schorzenia, informacje docierające do ich słuchu i dotyku są bardzo wiele warte – jak złoto.

Skoro najlepiej wyjaśniają to przykłady, oto kilka następnych.

Niewidomy członek rodziny przyszedł jako pierwszy na śniadanie. Usiadł za stołem i czeka. Prawda, że wypada, by zareagował powitaniem, gdy do jadalni wchodzi kolejny członek rodziny? Kiedy ma to wykonać? Gdy usłyszy, że ktoś wchodzi – przecież nie zobaczy.

Ten sam niewidomy już je kanapki, ale jeszcze nie ma herbaty. Jedząc porusza rękami – a to sięgnie po sól, a to po widelce, widelcem sięgnie po plaster pomidora itd. Musi przestać się ruszać, gdy stanie przed nim na stole filiżanka z herbatą. Kiedy? Gdy usłyszy, że ktoś tę filiżankę stawia. Może to być zapowiedziane werbalnie, albo, gdy gospodyni się spieszy i nie ma czasu tego zapowiedzieć, poprzez stuknięcie filiżanki o blat stołu w momencie jej stawiania.

ciąg dalszy na str. 10



Plan tyflograficzny dla niewidomych.

Informacje na wagę złota

dalszy ciąg ze str. 9

Kiedy niewidomy „wprowadzi” do swojego obrazu cukiernicę na stole? Wtedy, gdy usłyszy, że ktoś po nią sięga, a następnie odstawia. Gdy nic takiego nie nastąpi, musi poprosić o cukiernicę. Wtedy usłyszy, gdzie jest stawiana przed nim. Za każdym razem zmodyfikuje obraz i go zapamięta. Obraz się zmienia wyłącznie wtedy, gdy spowodują to kolejne, docierające do niego bodźce.

I tak wszelkie informacje, które do nas docierają, są na wagę złota. Szkoda, że mimo tej wagi są tak nieliczne. Właściwie nieustannie cierpimy na ich brak. Nie wiemy więc, jak wyglądają otaczający nas ludzie, nasze mieszkanie, jego otoczenie, krajobrazy, wśród których się znajdujemy, wszelkie elementy przyrody oraz przedmioty wytworzone przez ludzi. Tylko niewielką ich część możemy dotykać i rozumieć ich kształt. Kolorów nie doznamy, gdy nic nie widzimy i albo je sobie wyobrażamy na podstawie wiedzy sprzed okresu utraty wzroku, a może w ogóle ich nie będziemy rozważali, gdy nigdy nie widzieliśmy. Nasi bliscy opowiedzą nam o świecie w gruncie rzeczy bardzo niewiele, a nawet to będzie dla nich męczące. Wszystko, co nie naturalne, jest męczące. Nasi bliscy starają się nam pomagać i w mniejszym czy większym stopniu się to im udaje, ale to i tak jest naprawdę jedynie namiastką tego, co mają inni.

W tej sytuacji nie bez powodu omówiłem w poprzednim numerze „Filantropa Naszych Czasów” rozwiązania technologiczne, które potrafią niwelować skutki braku wzroku. Bez nich egzystencja niewidomych w społeczeństwach informacyjnych, a tym bardziej postinformatycznych nie byłaby możliwa. Musielibyśmy wrócić do roli społecznego marginesu i co – może pod kościoły, by dostać jałmużnę? Na całe szczęście świat zadbał o nas i możemy dysponować urządzeniami, o których kiedyś nawet nikt nie marzył. Teraz korzystamy z urządzeń do czytania, rozpoznawania druku, samodzielnego pisania, z audiodeskrypcji i systemów naprowadzających, zamontowanych czy zainstalowanych w przestrzeni. Oby tak dalej!

Dla mam dzieci chorych na raka



Kilkadziesiąt kobiet każdego dnia i nocy czuwa przy łóżkach swoich dzieci, które przebywają w Klinice Onkologii, Hematologii i Transplantologii Pediatricznej Szpitala Klinicznego im. Karola Jonschera w Poznaniu. Nie mają czasu dla siebie, bo ich szpitalne życie to przede wszystkim wspieranie chorego dziecka.

Gdy chemio- i radioterapia osłabiają dziecięcy organizm, bliskość rodzica jest bezcenna. Poza tym wykonywanie przez mamy codziennych czynności przy chorych dzieciach odciąża personel medyczny. Aby panie mogły chociaż na chwilę odpocząć od szpitalnego życia, Drużyna Szpiku przygotowała dla nich wiele atrakcji.

– To dzielne kobiety, które walczą o zdrowie i życie swoich pociech. Właśnie dla nich przygotowujemy trwające tydzień metamorfozy mam dzieci chorych onkologicznie. Mogą zjeść obiad w restauracji, skorzystać z usług fryzjera lub kosmetyczki. W tym czasie nasi wolontariusze opiekują się i bawią z ich dziećmi. Nie moglibyśmy tego wszystkiego zorganizować bez wsparcia naszych zaprzyjaźnionych firm, za co im bardzo dziękuję – powiedziała Dorota Raczekiewicz z Drużyny Szpiku.

Wyjścia poza szpital pokazują, z czym na co dzień zmagają się mamy dzieci chorych onkologicznie. Również one mają prawo pomyśleć o sobie. Ich łóżkiem do spania jest leżak lub karimata położona na podłodze, natomiast jedna łazienka musi wystarczyć kilku rodzicom i kilkorgu dzieciom. W trakcie metamorfoz panie mogą przez kilka godzin pobyć w innym otoczeniu, oddać się w ręce kosmetyczki czy fryzjera.

– Już po raz drugi uczestniczyłam w tym wydarzeniu. Drużyna Szpiku zabrała mnie do jednego z poznańskich salonów fryzjerskich, gdzie pod okiem specjalistów przechodziłam metamorfozę. Było to dla mnie niezapomniane przeżycie. Pocułam się dużo lepiej z nową fryzurą. Mogłam wrócić do chorego dziecka silniejsza. Mamy dzieci chorych na raka w szpitalu spędzają całe dnie, tygodnie, miesiące. Zapominamy o sobie, bo życie naszych dzieci jest dla nas najważniejsze. Jestem wdzięczna Drużynie Szpiku za to, że w tych trudnych chwilach znowu się uśmiecham – powiedziała Jagoda Piotrowska, mama trzyletniej Ani, chorującej na glejaka mózgu.

STANISŁAW FURMANIAK



Monika Janc
POŁAJEWO

Natan Socha to chłopak dwunastoletni, który mimo tak ciężkiej choroby jaką jest białaczka, ma wiele zainteresowań, marzeń i planów na przyszłość. Chciałby zostać stolarzem albo kucharzem, nawet zwiedzać świat. Jest dzieckiem pogodnym, otwartym na potrzeby innych, kochającym przyrodę. I w pełni świadomym swojej choroby.

Mieszka we wsi Połajewo w gminie Połajewo razem z mamą Arletą, jej partnerem Rafałem i czwórką rodzeństwa: 15-letnim Klaudiuszem, 11-letnią Emilią, 8-letnią Lianną i 5-letnim Ksawerym.

Ostrą białaczkę limfoblastyczną zdiagnozowano u chłopca w 2006 roku, już w 10 miesiącu życia, w Szpitalu Klinicznym im. Karola Jonschera w Poznaniu. Po leczeniu chemioterapią Natanowi w 2007 roku przeszczepiono szpik od spokrewnionego dawcy. Był nim zaledwie 4-letni wówczas brat Klaudiusz. Niestety, po roku nastąpił nawrót choroby. Ponownie zastosowano chemioterapię i w 2009 roku wykonano następny przeszczep szpiku pobranego od Klaudiusza. Choroba przycichła jednak na krótko i w 2011 roku nastąpiła wznowa, tym razem z powikłaniami w mózgu. Natan został poddany radioterapii, ale i to nie pomogło. Bo w grudniu 2015 roku, gdy białaczka po raz kolejny zaatakowała organizm, specjaliści raz jeszcze zdecydowali się na chemioterapię i na ponowny przeszczep szpiku w listopadzie 2016 roku – tym razem od dawcy niespokrewnionego.

Choroba i skutki uboczne stosowania chemioterapii oraz leków spowodowały, że Natan ma uszkodzone nerwy wzrokowe, problemy endokrynologiczne i stomatologiczne. Musi być pod stałą kontrolą wielu innych specjalistów. Ma orzeczoną znaczny stopień niepełnosprawności. Należy do Fundacji Pomocy Dzieciom z Chorobami Nowotworowymi w Poznaniu.

Do szkoły Natan uczęszcza

FOT. ADRIANA KUZYŃSKA

Każdego dnia walczy o życie



Siostry Lilianna i Emilia z mamą Arletą pośrodku, z prawej Natan.

w Połajewie – ma indywidualny tryb nauki – ale czynnie uczestniczy w szkolnych imprezach i wycieczkach. Jak mówi jego była wychowawczyni Marlena Wiland, Natan jest bardzo otwarty na świat, chętny do współpracy, szybko nawiązuje przyjaźnie z rówieśnikami. Ma zdolności plastyczne. Pięknie rysuje, maluje i wykonuje postacie z modeliny. Jego prace są pomysłowe, staranne, estetycznie wykonane i przemysłane.

W 2011 roku był na kolonii w Witkowie organizowanej przez Zachodniopomorski Związek Towarzystw Krzewienia Kultury Fizycznej w Szczecinie. Bardzo podobała mu się panująca tam atmosfera, poznał nowych kolegów i koleżanki. Mówi:

– Odpocząłem od codziennego życia, od szpitala, zapomniałem o chorobie i cieszyłem się, że jestem wśród innych dzieci.

W roku 2018 był na klasowej wycieczce w nadleśnictwie Sarbia, poznał tam ścieżkę edukacyjną „Stary las uczy nas”. Zwiedzał też w Pozna-

niu Stary Rynek i Manufakturę Słodczy „Słodkie Czarzy Mary”. Przeszedł tam krótki kurs cukierniczy i samodzielnie wykonał lizaka. Interesuje się również piłką nożną. Jego marzeniem było poznanie Jakuba Błaszczykowskiego. Udało się je zrealizować w 2016 roku. Do spotkania doszło w restauracji „Kubatura” w Opolu. Do dziś Natan z wypiekami na twarzy wspomina to spotkanie.

Swoje 10 urodziny spędził, niestety, w szpitalu, ale dzięki zaangażowaniu najbliższych, personelu szpitala i dzieci był to bardzo piękny dzień. W prezencie dostał strój kucharza, a zamiast tradycyjne-

go tortu razem z mamą przygotował gofry. Od niedawna Natan rozpoczął naukę gry na gitarze, którą otrzymał od pani Magdy, przedszkolanki pracującej w szpitalu. Lubi zabawy z rodzeństwem, które bardzo go wspiera, pomaga, ale czasem też robi kawały i psoty. Silna więź łączy go z bratem Klaudiuszem, który był dawcą szpiku. Natan jest świadomy tego, co zrobił dla niego brat.

Czasem pyta samego siebie: czy dam radę? Czy rodzina poradzi sobie z moją chorobą? Rodzina nie zawiodła. Dla Klaudiusza jest oczywiste, że trzeba pomóc bratu i dać mu szansę na życie. Wal-



Na rysunku sławny piłkarz Leo Messi. Tak Natan sportretował swojego idola.



Motyle i kwiaty – rysunek Natana.



Natan uczy się gry na gitarze.

kę Natana z białaczką wspiera także Szkoła Podstawowa w Połajewie oraz wielu ludzi dobrej woli. W styczniu 2015 roku odbył się charytatywny koncert kołęd i pastorałek „Kolędy wspólnie malowane” w kościele pw. Świętego Mikołaja w Ryczywole. Zaspiewali na nim Paulina i Maciej Galińscy, Sylwia Feldman i dzieci ze szkoły w Połajewie. Dochód przeznaczony był na leczenie Natana.

Aktualnie chłopiec jest 2 lata po przeszczepie. Nieustannie walczy o swoje życie i zdrowie, dając tym samym piękny przykład i świadectwo wiary, której mu nigdy nie brakuje. Od wielu lat cierpliwie i z pokorą znosi chorobę oraz związane z nią liczne ograniczenia. Potrafi cieszyć się z małych rzeczy i doceniać piękno świata. Zachwyca się każdym kwiatkiem, śpiewem ptaków, tęczą na niebie. Snuje plany na przyszłość. Widzi u swego boku żonę i czwórkę zaadoptowanych dzieci: 2 chłopców i 2 dziewczynki. Braci i siostry, gdyż rodzeństwa, zaznacza, nie wolno rozdzielać.

Optymistycznie spogląda w przyszłość także mama, która po wielu trudnych i bolesnych chwilach potrafi z nadzieją powiedzieć:

– Musi być dobrze. Nie może być inaczej. Natan dostał kolejną szansę od Boga, więc damy radę.

Decydujesz – pomagamy



Honorata Pilarczyk, prezes Stowarzyszenia „Bioderko” (z lewej) i Kamila Polus, kierownik sklepu „Tesco” w Szamotułach.

Stowarzyszenie „Bioderko” w Chodzieży wzięło udział w IV edycji konkursu Fundacji TESCO „Decydujesz — Pomagamy”, która wspiera inicjatywy na rzecz lokalnych społeczności. Projekt, jaki zgłosiło „Bioderko”, to bezpłatne badania profilaktyczne podczas 8 edycji festynu prozdrowotnego „Zdrowa Sobota”, który odbędzie się 18 sierpnia w Chodzieży.

Fundacja TESCO przyznała granty 375 organizacjom z całej Polski, w tym Stowarzyszeniu „Bioderko”. „Zdrowa Sobota” – to sztanदारowa impreza prozdrowotna „Bioderka”. W tym roku, dzięki przyznanemu grantowi

w wysokości 3.000 zł., będzie można skorzystać z bezpłatnych badań profilaktycznych, w tym: RTG klatki piersiowej i osteoporozy, cytologii, wzroku i słuchu, raka piersi, chorób stawów, zdrowia psychicznego, stanów po udarach.

Wręczenie symbolicznych czeków odbyło się 17 lipca w sklepie TESCO w Szamotułach. W tym okręgu I miejsce i grant w kwocie 5 tysięcy złotych przyznano Stowarzyszeniu Społecznemu na rzecz Dzieci i Młodzieży Specjalnej Troski w Szamotułach. II miejsce zdobyło chodzieskie „Bioderko”. *HP*

Naszym darem wokalne talenty

W niedzielne popołudnie 10 czerwca po raz pierwszy braliśmy udział w pikniku parafralnym u Świętego Marcina w Swarzędzu. Michał, Piotr i Iwona zaprezentowali swoje talenty wokalne.

Udział w tej imprezie sprawił nam wiele radości, dziękujemy za zaproszenie. Pokazaliśmy, co

na co dzień robimy w warsztacie wraz z naszymi terapeutami. Cieszymy się, że dzieci mogły pojeździć na koniu Stowarzyszenia pod opieką pani Moniki. Mamy nadzieję, że dla słuchaczy nasz występ był miłą niespodzianką.

MIROŚLAWA PENCZYŃSKA



FOT. ARCHIWUM SPDS



Drewniany kościół w Czeszewie.



W Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiałowie.



Przeprawa promem przez Wartę w Dębnie.

W Szwajcarii Żerkowskiej



W ogródku Zosi z „Pana Tadeusza”.

Dzięki dotacji Wójta Gminy Kleszczewo Stowarzyszenie „Pomagamy” konsekwentnie realizuje projekt pod nazwą „Terapia zajęciowa w Kleszczewie”, w ramach którego mieszczą się także turystyczne wyjazdy. Tym razem przeszło 50-osobowa grupa seniorów i osób z niepełnosprawnością zwiedzała 5 lipca uroczyste zabytki, krajobrazy i piękną przyrodę Szwajcarii Żerkowskiej.

Odwiedziliśmy między innymi XIX-wieczny, klasycystyczny kościół w Brzóstkowie, po którym oprowadził nas ksiądz proboszcz. Świątynię wzniesiono na wzgórzu otoczonym zielenią i cudownymi widokami. Mieści się tam nagrobek fundatora Antoniego Czarnieckiego. Ołtarz z Ukrzyżowanym Chrystusem skłaniał do modlitwy. Cały zabytek jest bardzo zadbane. Już w autokarze opowiedziała o nim pilotująca nas Iwona Witkowska. Mówiła też

o wielu innych miejscach, które zwiedzaliśmy.

Celem naszej wędrowki było też Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiełowie. Tu sympatyczne przewodniczki zdradziły szczegóły z życia naszego wieszka, o których nie uczy się w szkole. Dowiedzieliśmy się na przykład, że wielki nasz poeta powtarzał klasy III i V, a jego mama ubolewała, że bażgrze jak kura pazurem. Ważnym miejscem siedmiomiesięcznego pobytu Mickiewicza w Księstwie Poznańskim był między innymi pałac w Śmiełowie. Pagórki zielone Szwajcarii Żerkowskiej były natchnieniem dla jego twórczości.

Byliśmy na spacerze w pałacowym parku i ogródku Zosi – bohaterki epopei „Pan Tadeusz”. Na trasie naszej wycieczki było też zwiedzenie XV-wiecznego, gotyckiego kościoła w Dębnie, ufundowanego przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Wincentego Kota. Stamtąd większość promem udała się na drugi brzeg Warty, a mniejszość pojechała autobusem. Spotkaliśmy się w XVIII-wiecznej karczmie w Czeszewie. W tej to miejscowości w XVIII-wiecznym drewnianym kościele odmówiliśmy modlitwę do Matki Bożej. Po obiedzie w restauracji w Orzechowie wróciliśmy do Kleszczewa.

MIROSŁAWA RADZIMSKA



Przed kościołem w Brzóstkowie.

Beata Iwanicka, absolwentka Warszawskiej Szkoły Liderów, jest doktorantką na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w Zakładzie Specjalnych Potrzeb Edukacyjnych. Zdobyła pierwsze miejsce w konkursie „Otwarte Drzwi” na najlepszą pracę magisterską w kategorii rehabilitacja społeczna oraz w konkursie na najlepszą pracę magisterską Miasta Poznania. Jest osobą z głęboką wadą słuchu, a ze swojej niepełnosprawności zrobiła wizytówkę, którą pokazuje, że osoba niesłysząca może osiągnąć sukces. Uwielbia podróże, podczas których porównuje jakość życia osób z różnymi niepełnosprawnościami i podejście systemowe do tego problemu.

*

Wielka Brytania jest drugą ojczyzną dla wielu Polaków, którzy wyemigrowali do kraju Szekspira po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Język polski słyszy się tam nie tylko w Londynie, ale prawie w każdym miasteczku w prowincjonalnych hrabstwach. Obecna sytuacja z Brexitem stwarza niepewność co do dalszego losu „nowej Polonii” w tym kraju, ale przecież jest to nadal miejsce przyjazne szczególnie dla osób, które chcą po prostu poznać i odwiedzić różne obszary Zjednoczonego Królestwa.

Zdecydowałam się zaryzykować i wybrać tanią ofertę lotniczą z jednej ze stron wyszukujących niedrogo połączenia dla osób, które lubią przesiadki i intensywne pobyty turystyczne. Zabrałam ze sobą mojego niedowidzącego małżonka, z którym „uzupełniamy się” swoimi dysfunkcjami (ja jestem osobą posiadającą głęboki niedosłuch). Zazwyczaj dzielimy się tak, że ja jestem od rozpoznania i orientacji w terenie, a mój partner zajmuje się rozmowami w języku angielskim (jeśli nie jest możliwa komunikacja w języku migowym).

Moją „oblatówkę” po Wielkiej Brytanii rozpoczęłam od Birmingham. Jest to ponad milionowe miasto w środkowej Anglii. Nie znajduje się na pierwszej liście miejsc turystycznych, ale jako doświadczona podróżniczka cenię sobie nie tylko zabyt-

WIELKA BRYTANIA – DOBRE PRAKTYKI I ŚWIADOMOŚĆ POTRZEB

Inna twarz



Pamiątka z Anglii: autorka Beata Iwanicka z mężem.

ki z pierwszych stron przewodników i katalogów, lecz także takie, które kryją różne perełki, a nie są zadeptywane przez tysiące turystów żadnych zrobienia sobie płytkego „selfie”, najlepiej na wyciąganym kijku z zainstalowanym smartfonem... Współczesna „globalna wioska” z jej makdonaldyzacją także na rynku turystycznym wykreowała świat, w którym jest wiele możliwości podróżowania, ale także liczne powiaty powierzchownego i konsumpcyjnego podejścia do zwiedzania, ograniczającego się do „topowych” miejsc oraz koncentrowania wysiłków na narcystycznej fotografii (najlepiej od razu wrzucanej do mediów społecznościowych), zamiast na historii i walorach kulturowych danego zabytku. Pamiętam jak w drodze autobusem z lotniska Luton do centrum Londynu przede mną siedziała Japonka, której całą półtoragodzinną drogę zajmowało uważne i szczególnie retuszowanie swoich kilku zdjęć na smartfonie.

Birmingham jest dawnym ośrodkiem przemysłowym w Wielkiej Brytanii, myślę, że polskim odpowiednikiem tego miasta może być Łódź. Pozytywne podejście do osób niepełnosprawnych zauważyłam już na lotnisku Birmingham. Mój niedowidzący partner pogubił się w szybkiej i automatycznej kolejce do odpraw paszportowych przy bramce wyjścio-

wej, ale po poinformowaniu obsługi o swoich problemach spotkał się z życzliwością i pomocą ze strony pracowników Brytyjskiej Służby Granicznej. Świadczy to o profesjonalizmie i dobrym przeszkoleniu (zdarzało się już, że w innych miejscach za granicą niedowidzącego małżonka brano za osobę podejrzaną, nie biorąc pod uwagę, że jego bardziej intensywne ruszanie głową wynika z ograniczonego pola widzenia, a nie ze złych zamiarów).

Po wyjściu z lotniska i skierowaniu się na pobliską stację kolejkową spotkała nas również nieplanowana przygoda. Zobaczyliśmy wielu charakterystycznych fanów muzyki blackmetalowej i rockowej, noszących długie włosy i czarne koszulki swoich ulubionych zespołów. Okazało się, że Birmingham jest dawną „stolicą” takiej muzyki, miejscem, gdzie swoje kariery rozpoczynały takie zespoły jak Led Zeppelin, Black Sabbath i inne kultowe zespoły tego nurtu. To sympatyczne spotkanie było jednak dla nas nieco stresujące – dla mnie, ponieważ w tym hałasie i tłumie rockmanów i metalowców, jako niesłysząca osoba, nie byłam w stanie odbierać żadnych komunikatów nadawanych przez głośniki, z kolei mój towarzysz wymagał uważnego asystowania, gdyż nie zabrał ze sobą do naszych małych bagażów laski dla osoby niedowidzącej.

W rezultacie uciekł nam ostatni pociąg do Birmingham i musieliśmy skorzystać z droższej opcji w postaci taksówki. Jednak miało to swoje walory – pojechaliśmy „prawdziwą”, taksówką angielską (tzw. black cab), posiadającą czarny kolor i charakterystyczny kształt. W środku okazało się, że ten samochód ma bardzo dużo miejsca. Gdybyśmy mieli ze sobą osobę z niepełnosprawnością ruchową i wózkem, nie byłoby problemów ze zmieszczeniem tej osoby w pojeździe. Właściciel taksówki okazał się również uprzejmym i empatycznym kierowcą, który zorientował się w wadzie wzroku posiadanej przez męża i po opuszczeniu przez nas samochodu dokładnie sprawdził, czy czegoś nie zostawiliśmy w samochodzie oraz pokazał najbliższe przeszkody i krawężniki do pokonania.

Wybrany hotel w Birmingham okazał się być również typowym, angielskim miejscem, z nieodłącznymi „podwójnymi” kranami, wiszącym sznurkiem w łazience do zapalania światła oraz śniadaniem angielskim z fasolką i grzybkami do zjedzenia (można było wybrać również posiłek kontynentalny, ale my szukaliśmy właśnie tego, co można zasmakować w samej Anglii). Kolejne interesujące odkrycie pod kątem niepełnosprawności słuchowej – telewizja w Wielkiej Brytanii jest bardzo dobrze przystosowana dla osób z wadami słuchu. Praktycznie wszystkie kanały posiadały napisy dla niesłyszących. Opcjonalny tekst do czytania puszcza się nawet w przerwach reklamowych, co wyglądało już nieco zabawnie, ale przecież dlaczego nie traktować osoby głuchej jako ważnego klienta, znajdującego się w polu targetu marketingowców od reklamy? Świadczy to o równościowym, rozwiniętym podejściu do osób niepełnosprawnych nawet w tak drobnych szczegółach funkcjonowania społeczeństwa.

OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI

Anglii

Samo Birmingham okazało się stosunkowo spokojnym, a nawet nieco wyludnionym w centrum miejscem (zwiedzaliśmy je w niedzielę, w dzień wolny od pracy). Ciekawe były miejsca poprzemysłowe, gdzie widać było, że już się nic nie produkuje, a jednak zadbano o konserwację charakterystycznej czerwonej cegły, głównego budulca dziewiętnastowiecznych budynków z okresu prosperity miasta. Zobaczyliśmy okazałe biurowce w miejscach biznesowych, te jednak nie przyciągały naszej szczególnej uwagi. Zaskoczeniem stała się sieć kanałów, okazało się, że Birmingham, posiada nawet dłuższe kanały wodne niż mają w Wenecji.

Podczas jednego z odpoczynków od spacerowania zajrzelśmy na mszę do interesującego kościoła anglikańskiego pw. św. Marcina, położonego w Bullring Shopping Centre, którego fundamenty datuje się na XIII wiek, lecz przebudowa w XIX wieku nadała mu neomodernistyczny charakter. Kolejna obserwacja pod kątem potrzeb osób niesłyszących: świątynia była wyposażona w wiele ekranów, na których puszczano teksty wszystkich śpiewanych psalmów i ważnych momentów liturgii. Zazwyczaj w polskich kościołach znajduje się tylko jedna taka tablica, na której są wyświetlane tylko śpiewane pieśni, często widoczne jedynie dla osób siedzących z przodu przed ołtarzem. W opisywanym kościele zamontowano ekrany na niemal każdej kolumnie, co w połączeniu z dobrą akustyką dawało znakomite możliwości uczestnictwa w mszy dla osób siedzących z tyłu, a także niesłyszących lub uczących się języka angielskiego.

Birmingham ma klimat miasta, które przypominało nam nieco filmowe Gotham City z cyklu komiksów o Batmanie. Nowoczesne, neomodernistyczne miasto, momentami nieco mroczne, ale mające urok nietypowej metropolii z ciekawymi zakątkami i nie-

spodziankami. Muzea w tym mieście okazały się bezpłatne, także dla osób bez dokumentów poświadczających niepełnosprawność. Po dwóch dniach zwiedzania zadowoleni z zobaczenia innej twarzy Anglii, niż wielki, ale nieco przytłaczający Londyn.

Oczywiście w dalszej „oblatówce” po Wielkiej Brytanii nie mogło zabraknąć stolicy Zjednoczonego Królestwa. Ceny hoteli w Londynie nie należą do najniższych, ale rekompensuje to sprawne i rozbudowane metro, którego początki sięgają 1863 roku, a więc złotej ery Wiktoriankiej. W przypadku tak dużej aglomeracji nie wchodzi raczej w grę spokojne spacerowanie, chyba że dysponujemy większą ilością czasu na zwiedzanie. W naszych punktowych wypadach do wybranych miejsc skoncentrowaliśmy się na kilku placówkach i zabytkach.

Wybraliśmy między innymi Opactwo Westminsterskie – angielski odpowiednik polskiego Wawelu, miejsce koronacji monarchów i pochówku wybitnych angielskich głów koronowanych. Jako fani serialu „Dynastia Tudorów” (produkcja z lat 2007-2010), byliśmy również ciekawi grobowców Henryka VIII oraz jego córek. Nie rozczarowaliśmy się. Szczególnie urzekając był wspólny grób Marii I Tudor oraz Elżbiety I, za życia siostr pokłóconych na tle religijnym i rodzinnym, a pogodzonych po śmierci. Pomimo takiego splendoru i dużej liczby turystów, pracownicy zaopiekowania nie byli zaskoczeni naszą prośbą o otrzymanie biletów dla osób niepełnosprawnych (praktycznie we wszystkich muzeach w Anglii takie osoby są zwolnione z opłat).

Pewną konsternację wzbudziło moje pytanie, czy jest może dostępna w budynku pętla indukcyjna do zaproponowanych audioprzewodników z materiałem w różnych językach. Niestety, takiej możliwości nie przewidziano, ale proponowano mi w zamian dodatkowe słuchawki, pożyczone z prywatnego

sprzętu jednego z pracowników. Ujęła mnie rozwinęta wrażliwość personelu Opactwa na sytuację osób ze specjalnymi potrzebami, wykraczająca poza regulaminowe traktowanie zwiedzających.

Na koniec naszego pobytu w Anglii zaliczyliśmy również słynne British Museum. Placówkę oceniliśmy na bardzo dobrze przygotowaną dla osób niepełnosprawnych, zarówno na poziomie przestrzeni architektonicznej, jak i przystosowania dla osób niewidzących. Skorzystaliśmy z pierwszeństwa w kolejce dla osób niepełnosprawnych, co jest również pewnym standardem w zachodnich muzeach. Uwielbiamy wszystko, co starożytne, dlatego skupiliśmy uwagę na wystawach dotyczących starożytnego Egiptu, a także kultur prahistorycznych. Niespodzianką dla nas było „odkrycie” posągu z Wyspy Wielkanocnej (tzw. „moai”). W okresie kolonialnym do Anglii trafił jeden z wielu artefaktów, z nie wyjaśnionych do dziś przyczyn, wzniesionych na tej odległej od cywilizacji wyspie, położo-

nej niemal na środku Oceanu Pacyficznego. Posąg jest ustawiony w dość łatwym do znalezienia miejscu, na parterze, gdzie przecina się kilka dróg do różnych skrzydeł budynku.

Jak później doczytaliśmy, dla rdzennych i współczesnych mieszkańców Wyspy Wielkanocnej utrata tego posągu jest do dziś trudna do zniesienia, ponieważ w ich wierzeniach magiczna siła tych rzeźb jest aktywna tylko wtedy, gdy wszystkie moai są zebrane razem w jednym miejscu, stąd od wielu lat trwają starania tubylców o odzyskanie cennego dla ich kultury artefaktu. Wydaje mi się, że w pewnym sensie jest to metafora współczesnej sytuacji osób niepełnosprawnych na świecie. Nie będą one szczęśliwe – dopóki ostatnia placówka i człowiek nie będzie świadomy potrzeb ludzi z różnymi dysfunkcjami. Wiele jest jeszcze do zrobienia – uczmy się od Brytyjczyków, jak dużo można zrobić w tym zakresie, zarówno na poziomie usług kulturalnych, jak i samego podejścia w spotkaniu „face to face”.

BEATA IWANICKA



Świątynia przystosowana do potrzeb osób niesłyszących: na wielu ekranach puszczano teksty śpiewanych psalmów i ważnych momentów liturgii.

FOT. (2X) ARCHIWUM AUTORKI

Wiersze Zbigniewa Nowaka

Bibliotekarz życia

*Bibliotekarzem swego życia być,
Jak książki zgrabne, co los daje,
Według tematów poustawiać
Na mahoniowym regale.*

*Najpierw biografie przodków,
Dzieła z historią bez zakłamań,
By wiedzieć, jak najgodniej być
I mieć jak najuczciwiej.*

*Podróży, przygód i awantur
Oprawne wielobarwne strony,
Dla rozpoznania świata
Ustawić po sąsiedzku tomy.*

*A dalej zaś romansów rząd
Spod najprzedniejszych piór,
Beletrystyki dla krzepienia serc
Z grzbietami złożonymi.*

*Sensacje i o szpiegach coś
Wysoko, hen pod sufit,
Gdzie i powieści galaktycznych
Najlepsze będzie z miejsc.*

*A kryminały o przelanej krwi,
Okrutnych zbrodni pitawale,
W kartonie spoczywają gdzieś
Przez mole pożerane.*

*Szare tomiki z poematami
Konsolkę podręczną winny zająć,
By z Sibeliusiem w deszczowy czas
Zdrętwiałym sercem bólu ująć.*

*Najniższe półki, na dziecięcy wzrost
Baśniowej poświęciłbym literaturze,
Co nieprawdziwe, prawdy głoszą
O pięknych charakterach,*

*No i bajeczki o wodnikach,
O elfach znad strumienia
Oraz zwierzętach dobrych i złych,
Jak ludzie z otoczenia.*

*Każde zdarzenie, przeszłe dni,
Porządnie z sensem ustawione,
Jak długie rzędy woluminów
W ciekawym księgozbiorze.*

*Cóż, bajki? Tak, to bajki wszak,
Lecz żal jednak pozostać,
Że tym bibliotekarzem być,
Coś w życiu mi się nie udaje.*

Babie lato

*Ten dzień wypadł chyba
Z tomiku wierszy Tuwima,
Jak zasuszony liść mimozy
Z odległej jesieni.*

*W słodzonym ciepłym powietrzu
Barwionym kiściami winogron,
Jak myśli i wspomnienia
Podróżuje młodzież pajęcza.*

*Soki z ogrodu w pękatek flaszach
Czekają w kolejce do schowka,
Gdzie ogórki z czerwoną papryką
Ścisną się wobec gorczycy.*

*Dym ognisk i śmiech dzieci
Co pełne kieszenie mają buczyny
W głębi starego parku wnikają
Między tycjanowskie barwy.*

*W ten czas pogodnych refleksji,
Cudu harmonii absolutnej,
Nawet Marengo i Copenhaga
Przy jednym żłobie stać mogą.*

*Jak balsam zawinę w safian
Ten urok ulotny jak eter,
By kłaść na sercu zbolełym,
Gdy zimna północ nadleci.*

25 ZJAZD RODZIN W DOMU POMOCY SPOŁECZNEJ W PSARSKIM

Na indiańską nutę

Kowbojskie kapelusze, pióropusze, garderoba pełna barw, wspólna zabawa kilku pokoleń i wesole piosenki towarzyszyły uczestnikom dwudziestego piątego zjazdu rodzin, zorganizowanego 30 czerwca na terenie Domu Pomocy Społecznej w Psarskim koło Sremu w województwie wielkopolskim. Mieszkańcy DPS na spotkanie z bliskimi szyskowali się kilka dni wcześniej.

Były wizyty fryzjera, zabiegi kosmetyczne, makijaże,

sprzątanie pokoi, opracowywanie programu artystycznego i przygotowania do występu przed publicznością. Tegoroczna edycja zjazdu przebiegała pod hasłem: „Dziki Zachód”. To druga część ubiegłorocznego zjazdu rodzin zorganizowanego w Psarskim pod takim właśnie tytułem.

Do mieszkańców (osób w podeszłym wieku, przewlekłe chorych i z niepełnosprawnościami) przyjechali krewni – dzieci, wnukowie, dalsza



Występ muzyczny mieszkańców przygotowany pod kierunkiem Tadeusza Kaczmarskiego, instruktora kulturalno-oświatowego DPS.



Józef Szerszeniewski, 89-letni mieszkaniec DPS w Psarskim (na wózku) ze swoimi bliskimi i pracownikami Domu przy drzewku „Mecia” posadzonym z okazji 30-lecia pobytu w DPS śp. Mieczysławy Pryber.



Mieszkańcy zasiedli przy stołach ze swoimi krewnymi.



Seniorzy śpiewają, a dzieci i młodzież akompaniuje im na bębnach.

rodzina, przyjaciele. W jubileuszowym zjeździe rodzin uczestniczył (po raz dwudziesty piąty) prof. dr hab. Stanisław Kowalik, kierownik Katedry Adaptowanej Aktywności Fizycznej Akademii Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego w Poznaniu. Zwrócił uwagę, że nie wszystkie domy pomocy społecznej kładą nacisk na stały kontakt mieszkańców z rodzinami oraz na ich integrację ze społecznością lokalną, a jest to niezwykle istotne dla poprawy samopoczucia fizycznego i psychicznego.

Dom Pomocy Społecznej

w Psarskim zapewnia całodobową opiekę 120 osobom. Jest to placówka z wieloletnią historią i tradycją. W 2019 roku obchodzone będzie 50-lecie utworzenia Domu. Jubileuszowy zjazd był okazją do wspomnień niezwykłych już mieszkańców, m.in. śp. Mieczysławy Pryber, której wiersze publikowane były kilkakrotnie na łamach naszego miesięcznika. Na pamiętkę 30-lecia pobytu w DPS w Psarskim (7.02.1985 – 7.02.2015) pracownicy posadzili na zielonym terenie przy DPS drzewko „Mecia”.

KAROLINA KASPRZAK

Miasto winnic i Bachusa

Wpiękny letni dzień przyjechaliśmy do Świebodzina, gdzie góruje nad miastem figura Chrystusa Króla Wszechświata. Zrobiła na nas wielkie wrażenie. Spacerując uliczkami miasteczka pełnymi zabytków o niepowtarzalnej architekturze zachwycaliśmy się odmiennością tego malowniczego miasteczka.

Stąd dotarliśmy do Zielonej Góry, miasta festiwalu i winnic. Zwiedziliśmy palmiarnię z akwariami pełnymi barwnych ryb i żółwi. Ciekawym miejscem była konkatędra, ratusz i kamieniczki na rynku. Na każdym kroku można było spotkać zdobiące miasto figurki zielonogórskie zwane „bachusikami”, czyli różnej wielkości i kształtów bożki corocznego winobrania. Często można było spotkać na budynkach ciekawe motywy roślinne, zwłaszcza płaskorzeźby z koshem winogron. Zielona Góra, miasto pełne zieleni, urzeka czystością, niepowtarzalnym klimatem i architekturą.

MIROŚŁAWA PENCZYŃSKA



Prawnik maratończykiem

Kilka miesięcy działań, dziesiątki zaangażowanych osób, moc pozytywnej energii i zebranych ponad 15.000 złotych – to efekty akcji „Prawnik w biegu”. Marcin Janiak – prawnik w biegu – przebiegł tegoroczny maraton w Tokio dla osób po wypadkach, które w Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ będą uczyły się, jak żyć z niepełnosprawnością.

PLANY BLISKIE I DALEKIE

28 czerwca w Centrum Handlowym FERIO odbyło się spotkanie z dziennikarzami, podczas którego Marcin zapowiedział kolejne akcje biegowe połączone z pomaganiem. Przed nim 15 września akcja biegowa w Starym Mieście na 5 i 10 kilometrów, a 4 listopada maraton w Nowym Jorku!

Obie akcje będą łączyć bieganie z pomaganiem – można np. kupować koszulki z logotypami akcji „Prawnik w biegu”.

Ogromne podziękowania należą się wszystkim osobom zaangażowanym w akcję „Prawnik w biegu”, w tym przyjaciółom z CH FERIO, którzy wspólnie z Marcinem będą kontynuować akcję biegania z pomaganiem.

ZAPRASZAMY DO BIEGANIA

Marcin Janiak wspólnie z żoną Anią zapraszają wszystkich chętnych do regularnych treningów, które prowadzą dwa razy w tygodniu, aby dobrze przygotować się do zapowiadanych biegowych akcji.



Ania i Marcin Janiak.

CO SIĘ JUŻ DZIAŁO?

Do akcji „Prawnik w biegu” włączali się duzi, i mali (m.in. społeczność przedszkolna ze Starego Miasta), mieszkańcy Konina i okolic, a także z odleglejszych stron Polski i świata, m.in. ze Stanów Zjednoczonych, Irlandii i... Tokio! Zespoły KERS i RECEPTA dały koncert, na którym zamiast kupowania biletu, trzeba było wrzucić coś do puszek. Pomagały też lokalne firmy. Ambasadorami akcji byli Beata Sadowska, Jerzy Skarżyński, Patryk Szymański, Panrunner i Marek Bystrzycki. Ponad 80 osób wsparło zbiórkę pieniędzy organizowaną na portalu Polak-Pomaga.pl. Wszystkim pięknie dziękujemy!

AKCJA DLA TYCH, KTÓRZY BIEC NIE MOGĄ

Fundacja PODAJ DALEJ wspiera osoby, którym niepeł-

nosprawność utrudnia bądź uniemożliwia niezależne życie. Wśród nich są osoby po wypadkach, które nagle straciły sprawność, a wraz z nią sens życia. Wiele miesięcy spędziły w szpitalach, mają za sobą traumatyczne przeżycia. Muszą się nauczyć żyć zupełnie od nowa z rękoma, które nie mają chwytu, z ciałem, które niczego nie czuje.

Dzięki zebranim środkom zapewnimy trzem osobom miesięczny pobyt i aktywizację w „Akademii Życia”, czyli zapewnimy 24h opieki asystentek, intensywną naukę niezależnego życia, fizjoterapię, wsparcie psychologa i zakwaterowanie w specjalnie przystosowanych mieszkaniach treningowych.

ŻYĆ OD NOWA

– „Akademia Życia” to takie miejsce w połowie drogi ze szpitala do domu. To mieszkania, w których osoby po wypadkach przez kilka miesięcy oswiają się ze swoim nowym życiem. Tu dowiadują się, że niepełnosprawność nie jest barierą w osiągnięciu celów, że osoba na wózku może pracować, podróżować, uprawiać sport, zakładać rodzinę, być szczęśliwą – mówi Zuzanna Janaszek-Maciaszek, prezes Fundacji.

Więcej o akcji „Prawnik w biegu” na www.facebook.com/prawnikwbiegu, o Fundacji na www.podajdalej.org.pl **na**



Zuzanna Janaszek-Maciaszek, Marcin Janiak i Katarzyna Muzykiewicz.

FOT. (2X) ARCHIWUM SPDT

FOT. (2X) FUNDACJA „PODAJ DALEJ”

Na siedząco też można dobrze żyć

MACIEJ GĄSIOROWSKI, uczestnik „Akademii Życia” konińskiej Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka **PODAJ DALEJ** wspomina:

– Co robi 18-latek, który miesiącami leży na szpitalnym łóżku, podłączony do respiratora, nie mogąc ruszyć nawet palcem u nogi? Szczerze? Gapi się w sufit i modli, aby jak najszybciej umrzeć. Nie miałem odwagi, żeby ze sobą skończyć. Na szczęście. Bo kiedy już posadzili mnie na wózek, zrozumiałem, że na siedząco też można dobrze żyć.

Przyjęcia z okazji 18 urodzin nie miałem. Wszedłem w dorosłość w szpitalnej ciszy przerywanej szumem podłączonych do mojego ciała medycznych urządzeń i otumaniony środkami przeciwbólowymi. Żadnych planów nie snulem. W krótkich chwilach przytomności przed oczami przelatywały mi urywki wspomnień sprzed 3 miesięcy, a dokładnie z 21 lipca 2015 roku.

Skończyłem właśnie gimnazjum. Po wakacjach miałem zacząć uczyć się stolarki w szkole zawodowej. Żniwa w moim Napruszewie, małej wsi niedaleko Konina w województwie wielkopolskim, trwały w najlepszej. Razem z rodzeństwem pomagałem rodzicom zbierać zboże z pól. Tamten dzień zaczął się słonecznie. Deszcz przyszedł nagle, pozostawiając mokre ślady na nawierzchniach dróg. Wybrałem się z kolegą jego samochodem po nowe części do kombajnu. Miałem mu powiedzieć, żeby zwolnił. Nie zdążyłem. Auto uderzyło w pień drzewa. Niczego więcej z tamtego dnia nie pamiętam.

Przebudziłem się w łóżku na oddziale intensywnej terapii szpitala w Koninie. Powiedzieli mi, że kolega z wypadku wyszedł cało. Siła uderzenia skutkowałą się na mnie. Miałem wstrząs mózgu, złamane żebra, uszkodzoną wątrobę i śledzionę, zbite płuca, złamany kręgosłup i przerwany rdzeń kręgowy. Co drugi dzień mnie usypiali, żeby usunąć wydzielinę z płuc. Chłopaku, to cud, że przeżyłeś – mówili lekarze i rodzina, która trwała przy moim łóżku. A



Pierwsze dni w Akademii.

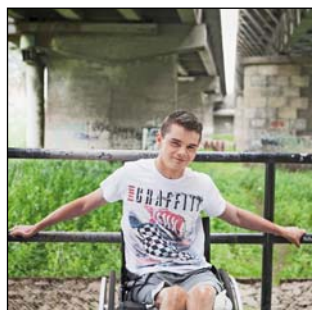
ja myślałem przerażony: Jaki to cud, skoro nie mogę ruszać ręką ani nogą, a oddycha za mnie respirator. I modliłem się, żarliwie się modliłem. Nie o zdrowie. O to, żeby jak najszybciej umrzeć.

„Składali” mnie przez kilka miesięcy. Najpierw w Koninie, potem w Słupcy, jeszcze potem w Poznaniu, i znowu w Słupcy i znowu w Poznaniu. Przeleżałem 2 lata. Przez ten czas świat widziałem tylko w telewizji albo podczas przejazdów z jednego szpitala do drugiego. Byłem tak słaby, że „łapałem” każdego wirusa i każdą bakterię. Dwa razy stanęło mi serce i trzeba mnie było reanimować. Raz przestały działać nerki. Zrobiły mi się odleżyny na kości ogonowej, na udzie, koło kolana, na kostkach stóp. Przerażenie odeszło. Przyszła bolesna świadomość: mam niewładne nogi, nigdy nie będę chodził, mam porażoną część prawej ręki, lewą mam sprawna – co ja nimi zrobię?

W szpitalu w Słupcy odwiedził mnie Marcin Kupiecki. Miał w sobie tyle entuzjazmu, kiedy mówił o „Akademii Życia”, że to projekt Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka **PODAJ DALEJ** w Koninie, że tam „stawiają ludzi do pionu”, uczą wszystkiego, co potrzebne, a nawet znajdują pracę. Patrzyłem spode łba, jak kieruje swoim wózkiem inwalidzkim. Jednym uchem słuchałem opowieści o jego nowym życiu. Powiedziałem mu na odchlebnego, że sprawdzę, że się

zorientuję, że zadzwonię, ale tak naprawdę miałem „gdzieś” to, co się dalej będzie ze mną działo. Wpadłem w depresję. Psycholog nie pomógł. Wszystko stało mi się obojętne.

Wróciłem na stałe do domu.



Na spacerze.

Przyjaciele i znajomi na początku przychodzili często i tłumali. Z czasem zostali tylko najwytrwalsi. Sąsiedzi nie patrzyli na mnie jak na wiejską atrakcję, często zagadywali, pytali o zdrowie, ale trudno mi było z nimi rozmawiać. Nie byłem już tym samym młodym chłopakiem na luzie, ganiającym za piłką po boisku i szalejącym na zabawach. Byłem... No właśnie, sam nie wiedziałem, kim jestem...

Decyzja przyszła nagle. Kiedy czekałem w domu na kolejną operację – tym razem odleżyn. Wtedy dotarło do mnie, że mogę tak właśnie spędzić resztę życia – leżąc w łóżku, obracany na posłaniu kilka razy dziennie przez rodziców, wystawiany

na dwór jak niemowlak, żebym się przewietrzył i niebo zobaczył. – To już może lepiej śmigać na wózku inwalidzkim, tak jak Marcin? – pomyślałem. – Wtedy przynajmniej wyjdę z domu, kiedy sam będę chciał, a nie kiedy inni będą mieli czas, żeby mnie wyprowadzić.

Powiedziałem rodzicom, że wybieram się na pół roku do „Akademii Życia”. Tata nie protestował. Mama bała się, że sobie nie poradzę. Nie dziwię się. Kiedy tam trafilem, nie umiałem nawet sam stabilnie siedzieć na łóżku. W Akademii uczyli mnie wszystkiego od początku: jak wsiąść na wózek, jak z niego zsiąść, jak się na nim utrzymać, jak go prowadzić, jak pokonywać przeszkody. Nauczyłem się sam wchodzić na łóżko i z niego zsiadać, myć się, przygotowywać sobie posiłki, robić zakupy, sprzątać, prac, prasować. Mama nadziwić się nie mogła, kiedy po powrocie do domu zamiotłem i umyłem podłogi, w gotowaniu obiadu pomogłem i psa nakarmiłem.

Niedługo wracam do Akademii. Tym razem „Akademii Samodzielności”. To nowy projekt Fundacji **PODAJ DALEJ**, dla niepełnosprawnych mieszkańców województwa wielkopolskiego. O przyszłości dalszej jeszcze nie myślę. Nie planuję nauki, szkoły, zawodu. Plan mam na razie taki, żeby sobie te wszystkie nowe umiejętności wyszlifować. I spróbować rzeczy, które jeszcze kilka miesięcy temu wydawały mi się niemożliwe. Bo jednego jestem już pewien – mogę i chcę być niezależny. Nawet jeśli będę niezależny na siedząco.

•

Jesteś w podobnej sytuacji jak Maciej? Chcesz walczyć o swoją niezależność? Nie boisz się nowych wyzwań? Mieszkasz w Wielkopolsce? Zgłoś się do **AKADEMII SAMODZIELNOŚCI**!

Informacji o projekcie udziela Karol Włodarczyk – tel. 63-211-22-19 karol.wlodarczyk@podajdalej.org.pl. Formularz rekrutacyjny dostępny jest na <https://podajdalej.org.pl/co-robimy/aademia-samodzielności/>

Wielkopolskie Centrum Onkologii w Poznaniu wdrożyło program gwarantujący kobietom z chorobą nowotworową piersi dostęp do leczenia i wielospecjalistycznej opieki. Program nosi nazwę „Breast Cancer Unit” (kompleksowe zwalczanie raka) i zakłada wsparcie kilkudziesięciu specjalistów – m.in. radiologa, chirurga-onkologa, chirurga-plastyka, onkologa klinicznego, psychonkologa, pielęgniarki. W ramach programu działa też specjalny punkt rejestracyjny.

„Breast Cancer Unit” został uruchomiony w Poznaniu 14 czerwca. Jest to pierwsze tego typu rozwiązanie w województwie wielkopolskim. W Polsce po raz pierwszy wdrożono go w 2014 roku, w Szczecinie. Program jest siecią ośrodków posiadających specjalistyczną ka-

Lepsza diagnostyka i leczenie

dre, bazę i narzędzia niezbędne w leczeniu raka piersi. Pacjentki Wielkopolskiego Centrum Onkologii nie muszą czekać w kolejce do rejestracji – są obsługiwane w nowym punkcie rejestracyjnym. Chore od razu trafiają pod opiekę wielodyscyplinarnego zespołu, który koordynuje i monitoruje przebieg leczenia na wszystkich etapach. Do poznańskiego ośrodka mogą zgłaszać się pacjentki z całej Wielkopolski.

„Jeden „Breast Cancer Unit” powinien diagnozować co naj-

mniej 150 przypadków rocznie. Standardem są cotygodniowe spotkania specjalistów w celu omówienia wszystkich możliwości terapeutycznych. „Breast Cancer Unit” musi dysponować bazą danych, która umożliwi przeprowadzanie audytów i kontroli jakości świadczonych usług medycznych. Pacjentki mają zapewnione leczenie, które na bieżąco jest wyjaśniane i konsultowane. Ostatnim etapem leczenia jest radioterapia” – czytamy na stronie www.stowarzyszenieradioterapia.org.pl.

Tworzenie nowoczesnych specjalistycznych ośrodków diagnostyki i leczenia raka piersi zostało opracowane kilkanaście lat temu przez przedstawicieli organizacji European Society of Breast Cancer Specialists. W Polsce powinno funkcjonować kilkadziesiąt takich ośrodków, a jest ich zaledwie kilka – m.in. we wspomnianym Szczecinie, Poznaniu, Wrocławiu, Bydgoszczy, Gdyni, Gliwicach, Kielcach, Krakowie i w Łodzi. *Oprac. KK.*

Nad morze po zdrowie Piknik pod dębem

W dniach od 16 do 23 czerwca członkowie Koła Wielkopolskiego Związku Inwalidów Narządu Ruchu w Środzie przebywali w Dziwnówku nad morzem. Była piękna pogoda, więc większość korzystała ze słonecznych spacerów na plaży.

Uczestnicy wyjazdu brali też udział w zajęciach rękodzielniczych: tworzeniu papierowych łańcuszków, wyplataniu koszyczków i wazonów z tak zwanej wikliny papierowej. Po-

wstawały nawet papierowe łańcuszki, serduszka z filcu i inne pamiątkowe przedmioty (takie warsztatowe zajęcia będą kontynuowane w okresie jesienno-zimowym w siedzibie Koła w Środzie). W wolnym czasie w Dziwnówku można było grać w szachy i warcaby. Były też nastrojowe, wieczorne ogniska. Służący zdrowiu i wypoczynkowi nadmorski pobyt współfinansowany był przez Gminę Środa.

JERZY SKROBISZEWSKI



FOT. ARCHIWUM WTZ W OSTRZESZOWIE



FOT. ARCHIWUM WZINR

4 lipca Warsztat Terapii Zajęciowej w Ostrzeszowie, działający przy Fundacji Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych „Miłosierdzie” w Kaliszu, zorganizował imprezę plenerową pod nazwą „Muzyczny piknik pod dębem”.

Słoneczna pogoda i wspinała przyroda, otaczająca plac „Pod Dębem” w Przedborowie były wymarzoną tlenem dla udanej zabawy. Wzięli w niej udział uczestnicy warsztatów terapii zajęciowej, środowiskowych domów samopomocy i domów pomocy społecznej z terenu połu-

dniowej Wielkopolski oraz zaproszeni goście, m.in. starosta ostrzeszowski Lech Janicki, dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie Bożena Powązka i prezes Fundacji „Miłosierdzie” Stanisław Brzoz.

Uczestnicy WTZ-etów i innych placówek spędzili czas tańcząc, śpiewając, biorąc udział w konkursie grzybobrania. Był poczęstunek, pamiątkowe zdjęcia w fotobudce i upominki dla wszystkich. Dziękujemy Nadleśnictwu Przedborów za okazaną pomoc i serdeczną gościnność.

AGNIESZKA KEMPA

Rowerem przez ziemię kaliską

Od 13 do 16 lipca trwał rajd rowerowy dla osób niepełnosprawnych, zorganizowany przez Warsztat Terapii Zajęciowej przy Fundacji Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych „Miłosierdzie” w Kaliszu. Udział wzięło 8 uczestników WTZ i 3 opiekunów. Pomysłodawcą i organizatorem rajdów rowerowych jest od wielu lat Marek Konwiński, kierownik WTZ w Kaliszu.

Koszty imprezy pokryli sami uczestnicy, a jeden nocleg, dzięki pomocy duszpasterza Warsztatów, ks. Krzysztofa Lipińskiego i uprzejmości Anny Wiśniewskiej-Polus, dyrektora Szkoły Podstawowej w Siedlikowie, mieliśmy nieodpłatny, za co serdecznie dziękujemy.

Raid rozpoczął się w Kaliszu, przebiegał przez Siedlątków, Wojków i Siedlików, a zakończył się na miejscu startu. Uczestnicy poznawali kulturę regionu, uczyli się przepisów ruchu drogowego i zasad bezpiecznego zachowania się na drogach oraz reguł współpracy w grupie.

Raid przebiegł w miłej i sympatycznej atmosferze. Kolarze walczyli ze swoimi słabościami i zmęczeniem fizycznym, ale dali radę, czerpiąc ogromną satysfakcję z pokonania trudności.

Oto etapy rajdu: Kalisz – Siedlątków 63 km, Siedlątków – Wojków 60 km, Wojków – Siedlików 47 km, Siedlików – Kalisz 42 km. Łącznie trasa rowerowa liczyła 212 km.

MARIUSZ PATYSIAK



Zdrowie w regionie

Stowarzyszenie Reumatyków i Ich Sympatyków im. Hanki Żechowskiej Koło Podkarpackie „Podaj Dalej” oraz Fundacja „My pacjenci” zapraszają do udziału w bezpłatnej konferencji poświęconej tematuowi ochrony zdrowia. Wydarzenie odbędzie się 24 września w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu. Jest realizowane w ramach projektu pod nazwą: „Razem dla zdrowia”.

Spotkanie jest adresowane do przedstawicieli organizacji pacjentów – stowarzyszeń i fundacji zajmujących się profilaktyką i ochroną zdrowia czy np. rehabilitacją osób po udarach mózgu, z chorobami nowotworowymi, schorzeniami układu nerwowego.

Mogą w nim wziąć udział także osoby zajmujące się na co dzień rehabilitacją osób z innymi niepełnosprawnościami, przedstawiciele administracji publicznej i samorządowej. Jednym słowem – wszyscy, dla których wpływ na ochronę zdrowia jest ważny.

Poznańska konferencja, nosząca tytuł: „Mój wpływ na ochronę zdrowia w województwie wielkopolskim”, będzie kolejną z regionalnych konferencji dedykowanych tej tematyce – podobne spotkanie odbyło się w tym roku m.in. w Rzeszowie.

Celem projektu – jak informują organizatorzy – jest rozwój dialogu społecznego oraz społecznej odpowiedzialności instytucji systemu ochrony zdrowia. Chodzi o wzmocnienie dialogu i współpracy między administracją publiczną a organizacjami pacjentów.

Szczegółowe informacje na temat spotkania można uzyskać pod numerem telefonu: 605 638 882 lub mejlo: biuro@podajdalej.net.pl Informacje o projekcie „Razem dla zdrowia” są dostępne na stronie internetowej: www.razemdlazdrowia.pl

Oprac. KK.



Serce niebieskich

23 czerwca przy poznańskiej „Arenie” odbyła się siedemnasta edycja festynu „Niebiescy dzieciom”. Organizatorem była Komenda Miejska Policji w Poznaniu we współpracy ze Stowarzyszeniem „Nasze Serce”.

Przedsięwzięcie zorganizowano w związku z Dniem Dziecka i rozpoczęciem wakacji. Można było skorzystać z wielu atrakcji, konkursów i zabaw. Organizatorzy nie zapomnieli o motywie przewodnim – pomocy drugiemu



dzieciom



stawiciele służb mundurowych odpowiadali na pytania dzieci oraz omawiali, do czego służą poszczególne sprzęty, które służą im w codziennej pracy. Dzieci mogły też poznać podstawowe zasady bezpieczeństwa w ruchu drogowym i udzielania pierwszej pomocy. Emocje wzbudziła policjanci z Grupy Realizacyjnej Komendy Miejskiej Policji w Poznaniu, którzy pokazali swoje możliwości w trakcie zaaranżowanego zatrzymania przestępców w pojazdach. W wykonaniu Oddziału Prewencji Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu można było obejrzyć popis musztry policyjnej. Jedną z większych atrakcji był pokaz Pododdziału Antyterrorystycznego przy użyciu śmigłowca policyjnego.

Latem zwiększają się kradzieże rowerów. Dlatego ci, którzy pojawili się na festynie z rowerami, mogli je oznakować w ramach programu „Poznański rower – bezpieczny rower”.

Na festynie można było posłuchać muzyki na żywo, zobaczyć pokaz dziewczyn z zespołu „Kolejorz Girls” i taniec ludowy w wykonaniu tancerzy z Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu.

STANISŁAW FURMANIAK

człowiekowi i bezpieczeństwie.

– Podczas trwania festynu zapewniliśmy nie tylko dobrą zabawę najmłodszym i ich rodzicom, ale także – przy współudziale z Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Poznaniu – zorganizowaliśmy zbiórkę krwi. Nie ma nic cenniejszego jak uratowanie życia choremu. Zaprzyjaźnieni z nami wolontariusze Drużyny Szpiku zachęcali do rejestrowania się w bazie potencjalnych dawców szpiku, przy okazji wyjaśniając, na czym polega pobranie szpiku i kto może zostać dawcą. Natomiast Stowarzyszenie „Nasze Serce” przeprowadziło zbiórkę pieniężną na rzecz budowy szpitala dziecięcego w Poznaniu – powiedział Piotr Gruszka, zastępca Komendanta Miejskiego Policji w Poznaniu.

Prawie każde dziecko chce zostać w przyszłości strażnikiem, policjantem czy żołnierzem. Z myślą o tym przygotowano szereg możliwości sprawdzenia się w tych rolach. Przed-



Od dwudziestu lat pracuję z osobami z niepełnosprawnością intelektualną w Stowarzyszeniu na rzecz Osób Niepełnosprawnych „Iskra” w Poznaniu. Bardzo lubię swoją pracę i podopiecznych naszej organizacji.

Staram się traktować te osoby, jak zresztą wszystkie inne, uwzględniając ich indywidualne ograniczenia wynikające z niepełnosprawności. Biorę je pod uwagę w rozmowach i zajęciach z podopiecznymi, w oczekiwaniach w stosunku do nich. Jednak zawsze na pierwszym miejscu stawiam godne traktowanie osób z niepełnosprawnością intelektualną lub inną. Zasadę tę staram się przekazać (myślę, że z powodzeniem) swojej kadrze terapeutycznej, z którą mam przyjemność pracować w prowadzonych placówkach.

Irytację i niesmak budzi we mnie takie przedstawianie osób z niepełnosprawnością intelektualną, zwłaszcza w większości mediów, które jest obliczone na wzbudzenie litości. Najczęściej efektem ma być dokonanie wpłaty datku: darowizny, płatnego sms lub przekazania 1%. Rzadko się zdarza, aby osoby z niepełnosprawnością intelektualną prezentowane były jako radosne, godne, kochające, obdarzone pasjami i emocjami, marzeniami i pragnieniami. Nie pokazuje się ich jako ludzi fascynujących, pełnych werwy, energii i siły. Jako ludzi po prostu pięknych.

W naszym Stowarzyszeniu „Iskra” od ponad czterech lat na stanowisku terapeuty w pracowni komputerowej Środowiskowego Domu Samopomocy zatrudniony jest Marcin Kaczyński, z wykształcenia rehabilitant. Spełnia się u nas między innymi jako komputerowiec i fotograf Stowarzyszenia. Tworzy wiele znakomych zdjęć naszych uczestników. Fotografie pana Marcina można obejrzeć na portalach społecznościowych takich jak Facebook, Instagram, Twitter, Tumblr, Flickr, prowadzonych pod jego kierunkiem przez pracownię komputerową.

Marcin Kaczyński krok po kroku rozwijał swoje zainteresowania fotografią. Pasję tę odkrył w naszym ŚDS „Iskra”. Zaczęło się od pierwszych, reporterskich zdjęć naszego życia. Stopniowo stworzył w pracowni komputerowej, którą prowadzi, miejsce zainteresowania fotografią dla naszych



Małgorzata Grzybowska.

uczestników. Pod okiem pana Marcina powstają zdjęcia wykonywane przez uczestników zajęć, filmy stworzone na bazie tych zdjęć, magnesy na lodówki, filmiki i wiele innych dzieł.

W twórczości Marcina Kaczyńskiego główne miejsce zajmuje fotografia portretowa podopiecznych Stowarzyszenia. Portrety te, których wybór tu prezentujemy, są wykonywane w naszej placówce. Modelkami i modelami są osoby dorosłe z niepełnosprawnością intelektualną. Do zdjęć tych nasi uczestnicy są stylizowani: umalowani, uczesani, dobrany jest ubiór, ale nie zawsze. Pan Marcin często „wyłapuje” na korytarzach naszych placówek osoby i wykonuje im zdjęcia, na których uchwycona jest ta jedna, wyjątkowa chwila, która pokazuje osoby z niepełnosprawnością bardzo pozytywnie, podkreślając jednocześnie indywidualność każdej z nich.

Zdjęcia te są dla mnie wyjątkowe pod wieloma względami. Znałem mi na co dzień osoby niejednokrotnie na fotograficznych portretach Marcina po prostu zaskakują mnie

swoim wyglądem. Fotografie przedstawiają bowiem naszych uczestników jako osoby dumne, pogodne, cieszące się życiem. Można odczytać ich emocje, miłostki, złości, pragnienia, nawet cechy osobowości. Na portalach, na których publikujemy te fotografie, mamy ogrom przyjaznych komentarzy od osób z całego świata na temat portretów naszych uczestników.

Dużą radość sprawiła mi osoba (spoza naszego środowiska), która stwierdziła, że kiedy patrzy na te fotografie, to czuje przypływ dobrych emocji: sympatii, szacunku, nawet podziwu dla osób z niepełnosprawnością intelektualną. W ten sposób zdjęcia Marcina Kaczyńskiego wnoszą w nasz świat nowy obraz osób z niepełnosprawnościami jako ludzi otwartych i szczęśliwych. Dlatego z przyjemnością zapraszam do obejrzenia portretów podopiecznych Stowarzyszenia „Iskra”, zamieszczonych na naszych portalach społecznościowych:

FACEBOOK – <https://www.facebook.com/iskrastowarzyszenie>

TWITTER – <https://twitter.com/iskrapoznan>

TUMBLR – <https://www.tumblr.com/blog/stowarzyszenie-iskra-fan>

FLICKR – <https://www.flickr.com/photos/154923180@N05/>

TOMASZ POPADOWSKI

Piękni



Marcin Kaczyński
– autor fotografii.



Alicja Kanikowska.



Piotr Wojciechowski.



Arkadiusz Nowicki.

ludzie



Maciej Szambelan.



Maciej Tyrcha.



Doriana Kaczmarek i Piotr Wojciechowski.



Maciej Olejnik.

Z INICJATYW ŚRODOWISKOWEGO DOMU

Nasze lato

27 czerwca zorganizowano w „Iskrze” wyjazd do Czerwonaka na ognisko i przywitanie lata. Gdy dojechalismy i wysiedlismy z autokaru i busa, było ciepło. Potem poszlismy na miejsce, gdzie mieliśmy

ognisko, usiedlismy na ławeczkach i rozdano nam drożdżówki, a potem dostaliśmy chleb ze smalcem i ogórka.

Na koniec pieklismy kielbaskę w ognisku. Każdy do kielbaski dostał chleb i ketchup lub musz-

tarde lub obie rzeczy, co kto wolał. Do popicia była woda w butelce. Moglismy pochodzić po terenie. Terapeuci zorganizowali spacer po lesie pod górę i doszlismy na wieżę widokową, nie wszyscy na nią weszli. Ja, Ania również nie wchodziłam. Posiedzieliśmy jeszcze na powietrzu, rozmawialiśmy i wróciliśmy do ośrodka.

ANNA KONOPACKA



28 czerwca poszlismy do Palmiarni. Pojechalismy tam tramwajem numer 11, najpierw poszlismy tam pieszo, na przystanek. Gdy weszlismy do Palmiarni, to kupilismy bilety i pamiątki.

A gdy weszlismy do środka wszystko oglądaliśmy, różne rośliny i palmy, zioła i kwiaty, były też zwierzęta, na przykład ryby, węże, żaby, papugi. Fajne było to, że mogliśmy karmić i głaskać ryby z oczka wodnego. Było fajnie. Jak wyszlismy z Palmiarni, to poszlismy na krótki spacer i mogliśmy usiąść na ławkach, a potem poszlismy w drogę powrotną do „Iskry”.

ANNA KONOPACKA



FOT. (2X) MARCIN KACZYŃSKI

SAMOPOMOCY „ISKRA” W POZNANIU

W Palmiarni głaskaliśmy ryby



Z myślą o osobach starszych i samotnych, potrzebujących aktywności na świeżym powietrzu Stowarzyszenie „Rowerowy Poznań” realizuje projekt pod nazwą „Rowerzyści dla seniorów”. W ramach inicjatywy mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej przy ul. Ugory 18/20 w Poznaniu odbywają z wolontariuszami przejażdżki po mieście riksą.

Riksza – jak informują organizatorzy – posiada wygodną kanapę z przodu z pełnym widokiem dookoła, pasy bezpieczeństwa oraz uchylany podnóżek dla osób, które mają problemy z poruszaniem się. Nim przejażdżki się rozpoczęły, wolontariusze zostali odpowiednio przeszkoleni w zakresie obsługi rikszy oraz pracy z ludźmi starszymi. Jazdę riksą ułatwia małe wspomaganie elektryczne dla prowadzących z tyłu.

Riksza dla seniorów

Projekt jest realizowany dzięki grantowi z Inkubatora WINS (Wielkopolskich Innowacji Społecznych) prowadzonego przez Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w partnerstwie z Urzędem Miasta Poznania i Poznańskim Centrum Superkomputerowo-Sieciowym w ramach Programu Operacyjnego „Wiedza, edukacja, rozwój”.

Pomysł na przejażdżki riksą z seniorami po Poznaniu został zaczerpnięty z duńskiej inicjatywy o nazwie „Cycling Without Age”, realizowanej obecnie w 37 krajach na całym świecie. Poznań jest pierwszym miastem w Polsce, które wdrożyło ten projekt. Dzięki przedsięwzięciu osoby starsze mogą

nawiązać przyjaźń z młodymi ludźmi, a młodzi – wysłuchać interesujących historii, pokazać

seniorom jak zmienia się miasto i jak latem rozkwita zieleń. *Oprac. red.*



Wspólne przejażdżki riksą – ciekawą formą aktywizacji osób starszych.

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA

Poznajemy kraje świata



FOT. ARCHIWUM WITZ

W marcu rozpoczęliśmy w naszym Warsztacie Terapii Zajęciowej w Owińskach cykl zajęć tematycznych dotyczących różnych krajów świata. Dotychczas poznawaliśmy Grecję, USA, Francję i Wielką Brytanię. Dowiedzieliśmy się, jak nazywają się stolice tych państw, jak wyglądają ich flagi oraz jak brzmią ich hymny.

Ponadto dzięki tym zajęciom wiemy już, kto jest głową każdego wymienionego państwa. Poznawaliśmy również jego najważniejsze miasta i zabytki.

Po każdej prezentacji rozwijaliśmy w grupach zadania, w których sprawdziliśmy naszą wiedzę zdobytą podczas zajęć. Próbowaliśmy również tradycyjnych potraw z danego obszaru: m.in. amerykańskiego burgera, greckiej zupy cytrynowej, francuskiej cebulowej oraz brytyjskiego crumble czyli owoców pod kruszonką.

Planujemy poznawać też między innymi Włochy, Hiszpanię, Rosję, Bułgarię, Indie. Egzotyka dalekich krajów jest dla nas bardzo interesująca. **na**

FOT. ARCHIWUM SPDS

Przez bajkę do serca

W czwartkowe przedpołudnie 21 czerwca, w pierwszy dzień lata, gościliśmy grupę starszaków z zaprzyjaźnionego z nami przedszkola „Miś Uszatek”. Obejrzeliliśmy w ich wykonaniu piękną i barwną inscenizację znanej bajki „Kot w butach”.

Dzieci wraz ze swoimi opiekunkami wystąpiły w ciekawych kostiumach. Wspaniały był układ taneczny i nastro-

jowa muzyka. Powróciliśmy wspomnieniami do tamtych lat i na nowo odkryliśmy przygody znane nam z bajek. „Musical” przedszkolaków sprawił nam wiele radości, bo pozwolił uwierzyć, że marzenia się spełniają, a miłość znajduje drogę do serca. Serdecznie dziękujemy maluchom i ich wychowawczyniom.

MIROSŁAWA PENCZYŃSKA



Dmuchawce i nie tylko

23 czerwca my z Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach braliśmy udział w festynie z okazji powitania lata „Dmuchawce, latawce” w Drążgowie. Aura nam nie sprzyjała, ale za to czekała na nas moc atrakcji. Mogliśmy wykonać latawiec według własnego projektu.

Wspaniale bawiliśmy się podczas zajęć tanecznych prowadzonych przez animatorkę. Dużą przyjemność sprawiła nam przejażdżka bryczką po pięknej okolicy. Mieliśmy okazję wspólnie zaśpiewać przeboje o lecie. Była kielbaska z grilla, grochówka, pączki, wata cukrowa. Bardzo miło spędziliśmy czas, była to okazja do wspólnej zabawy i nawiązania nowych przyjaźni.

ADAM WOJCIECHOWSKI
UCZESTNIK W TZ W OWIŃSKACH



Kochane bez miłości

Dzieci wychowywane w tak zwanych normalnych rodzinach cierpią niekiedy na brak miłości. A brak ten wydaje się być szczególnie dotkliwy, gdy wokół dziecka są bliskie mu osoby, które ono kocha i które również deklarują swoje kochanie, zapewniają mu dobre warunki bytowe, nieraz pogłaszczą i przytulą.

„Oni mnie kochają bez miłości” – powiedział pewien chłopiec i słowa te dają dużo do myślenia. Czyżby kochanie i miłość nie były tożsame? Najwidoczniej dziecko odróżniało zewnętrzne oznaki uczucia od tego, co jest z wewnątrz pochodzącą czułością i wyraża się w okazywaniu zainteresowania, w trosce i psychicznej bliskości.

Dzieci kochane bez miłości rzadko mają okazję porozmawiania z rodzicami. Czas spędzają przed telewizorem albo biegają z kolegami. Niekiedy cieszą się bezwarunkową miłością psa. Często oczekuje się od nich samodzielności przekraczającej ich możliwości, oczekuje się wyborów i decyzji, do jakich jeszcze nie dojrzały. „Widzisz, jacy jesteśmy zapracowani” – słyszą – „to wszystko dla ciebie”. A dziecko wołałoby zrezygnować z jeszcze jednej elektronicznej zabawki, na rzecz opowiedzenia mu bajki czy wspólnego spaceru.

Dzieci kochane bez miłości bardzo często „uciekają w chorobę”, w ten sposób zapewniając sobie zwiększenie troski i zainteresowania ze strony całej rodziny. Zazwyczaj pojawiają się u nich różne objawy nerwicowe, do najczęstszych należą bóle brzucha i głowy, a nieraz także moczenie nocne czy tiki. Niektóre dzieci w swoim „wołaniu o miłość” zachowują się jak gdyby były młodsze niż są: tracą bystrość umysłu i dotychczasowe zainteresowania, niekiedy zaczynają seplenić, mają mniej niż dawniej skupialną uwagę, bawią się jak przed laty.

Niejednokrotnie dzieci takie mają różnorodne lęki, jak na przykład lęk przed ciemnością czy przed samotnością, w ten sposób wyrażając swoje pra-

gnienie bliskości z matką. Bo to głównie brak kontaktu z matką powoduje tego rodzaju zakłócenia w psychicznym rozwoju dziecka. Właściwie niekiedy trudno mówić o braku kontaktu, gdy dziecko mieszka razem z obojgiem rodziców, a nieraz i z rodzeństwem. Czym innym jest jednak obecność fizyczna, a czym innym psychiczne uczestniczenie w życiu dziecka.

Małgosia widzi swoją mamę rano, a potem dopiero wieczorem. „Za to w niedzielę masz mamę dla siebie” – powiedziała jej. „Gdzie tam” – odpowiedziała – „w niedzielę mama jest tak zmęczona, że leży w łóżku i tata każe chodzić na palcach”. „No to masz tatę”. „Gdzie tam. Tata pije piwo przed telewizorem i też chce odpocząć”. „To pewnie się ładnie bawisz?” „Gdzie tam. Bawię się szpilkami z kolorowymi łebkami”. I co się okazało: Małgosia najchętniej zajmuje się wkuwaniem szpileczek w szmacianą lalkę. Nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak czyni. Wyjaśnienie ma psychoanaliza: lalka jest „obiektem zastępczym”, zastępuje matkę. To być może dla mamy przeznaczone są bolesne ukłucia, z czego dziecko nie zdaje sobie sprawy.

Warto też zwrócić uwagę na nawyk mówienia przez Małgosię „gdzie tam”. Są tu dwa wyrazy: gdzie oraz tam. Pierwszy zawiera pytanie, drugi wskazuje na odległość. Można by więc zapytać: gdzie są rodzice? I odpowiedzieć: tam (a więc nie tu).

Naprawdę warto się nieraz zastanowić, gdzie jesteśmy, mieszkając razem z dziećmi. Czy jesteśmy TU, razem z nimi, czy też jesteśmy Tam – gdziekolwiek by to było. I niekiedy trzeba podjąć trudną decyzję, także typu rezygnacji, na przykład z bardzo ambitnych planów życiowych. Niektórzy rodzice, a szczególnie matki, znają takie rezygnacje. Dziecko też potrafi zrezygnować z różnych atrakcji. Z jednego zrezygnować nie umie: z miłości rodziców.

IRENA OBUCHOWSKA

Z KSIĄŻKI „KOCHAĆ I ROZUMIEĆ” CZ. III

Po raz pierwszy w Ryczywole

26 czerwca w nowej hali widowiskowo-sportowej w Ryczywole odbyło się po raz pierwszy spotkanie osób niepełnosprawnych pod hasłem „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Wiardunkach i dzieci ze Szkoły Podstawowej w Ryczywole walczyły w wielu konkurencjach.

Były rzuty do kosza, biegi przez niskie płotki, rzuty worczechkami do celu, bieg slalomem, podrzucanie piłeczki

pingpongowej, kulanie piłki kijem hokejowym, czołganie pod wysokimi płotkami. Atrakcyjną konkurencją było strzelanie piłką. Uczestnicy zostali podzieleni na 5-osobowe zespoły i po kolei zaliczali wszystkie zadania. Na zakończenie rozegrano turniej w dwa ognie. Mamy nadzieję, że my z WTZ w Wiardunkach będziemy mogli częściej korzystać z pięknego obiektu w Ryczywole.

MAGDALENA JANUS



FOT. (3X) SZAWOMIR SIERAKOWSKI

W dniach od 2 do 6 lipca w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Wiardunkach odbyły się „Wakacyjne warsztaty twórczości”. Uczestniczyła w nich grupa dzieci i młodzieży z Wiardunek i okolic. Zajęcia odbywały się w czterech grupach tematycznych: wikliniarsko-stolarskiej, artystyczno-plastycznej, teatralno-muzycznej i rekreacyjno-sportowej.

W grupie wikliniarsko-stolarskiej wykonywano hotele dla owadów. W grupie artystyczno-plastycznej robiono girlandy, kartki okolicznościowe, kwiatowy koszyk z papieru. W grupie rekreacyjno-sportowej odbywały się różnorodne ćwiczenia i konkurencje sportowe. Grupa teatralno-muzyczna przygotowała krótkie przedstawienie o tematyce zdrowego stylu życia jak również uczyła się śpiewu piosenek i recytacji wierszy.

6 lipca odbył się piknik, podczas którego każda z grup omówiła i zaprezentowała swoje wytwory i dokonania. Na boisku WTZ odbyły się również konkurencje sportowe. Na zakończenie kierownik WTZ wręczyła wszystkim uczestnikom „Warsztatów twórczości” pamiątkowe dyplomy i słodkie upominki.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

Wakacyjne warsztaty



Wyjątkowy dzień

Maj to najpiękniejszy miesiąc w roku, poświęcony Matce Bożej. W maju obchodzi się również Międzynarodowy Dzień Matki. Każdy z nas ma lub miał swoją mamę,

którą bardzo kocha, bo jak nie kochać osoby, która wydała nas na świat i darzy bezgraniczną miłością.

Zaprosiliśmy nasze mamy na uroczystość do namiotu wi-



FOT. (2X) ARCHIWUM SPDST

dowiskowego nad Jeziorem Swarzędzkim. Po przemówieniu Basi Kucharskiej, nastąpiła artystyczna część programu, w której zebrani wysłuchali piosenek i wierszy z okazji Dnia Matki oraz obejrza-

li pokaz tańca. Był też specjalny koncert życzeń dla mam. Cieszymy się, że nasze mamy mogły wspólnie z nami świętować ten wyjątkowy dla nich dzień.

AGATA KIEJDROWSKA

Piosenka budzi radość



FOT. (2X) ARCHIWUM SPDST

Muzyka jest najlepszym lekarstwem. Budzi dobre emocje, przy niej bawimy się i tańczymy. 12 czerwca w Szkole Podstawowej nr 3 w Swarzędzu

odbył się dziewiąty Festiwal Piosenki Osób Niepełnosprawnych „Zaczarowana Melodia”.

Było to dla nas niezapomniane, radosne spotkanie.

Organizatorem konkursu była dyrekcja szkoły i Anna Wiśnioch. Pomogli dar-

czyńcy i zaproszeni goście, a wśród nich Halina Benedyk i Marco Antonelli, którzy po naszych konkursowych zmaganiach zaprezentowali swój repertuar. Festiwal zakończył się wręczeniem nagród, które są dla nas prawdziwą radością. Wykonaliśmy piosenki z repertuaru znanych artystów. Przy tych utworach bawiliśmy się wspaniale.

AGATA KIEJDROWSKA



XVII POWIATOWE IGRZYSKA SPORTOWE OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI W SWARZĘDZU

Hymn, werble i wystrzał armatni



Michał
Ogoniak
SWARZĘDZ

30 czerwca na stadionie Miejskim w Swarzędzu odbyły się Igrzyska Sportowe Osób z Niepełnosprawnościami pod patronatem Jana Grabkowskiego, starosty poznańskiego i Mariana Szkudlarka, burmistrza Swarzędza. W zawodach wzięło udział nasze Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci Specjalnej Troski i uczestnicy z zaprzyjaźnionych organizacji w Kostrzynie, Pobiedziskach, Konarzewie, Otuszu, Kórniku i Owińskach.

Igrzyska rozpoczął koncert Swarzędzkiej Orkiestry Dętej i tańce, a Strzeleckie Bractwo Kurkowe ze Swarzędza oddało wystrzał z armaty. Po przemar-

szu przy muzyce drużyn sportowych na Stadion Swarzędzkiego Centrum Sportu i Rekreacji oraz po programie artystycznym Barbara Kucharska, przewodnicząca naszego stowarzyszenia, powitała wszystkich zawodników oraz zaproszonych gości, którzy nam kibicowali podczas zawodów. Przy dźwiękach werbli zapłonął znicz Igrzysk i wypowiedzieliśmy słowa przysięgi. Były stanowiska Firmy Blum, Strzeleckiego Bractwa Kurkowego, a także przejażdżka konna. Na zakończenie wręczono medale i puchary, każdy zawodnik otrzymał pamiątkową koszulkę na obchodzone w tym roku 380-lecie Swarzędza.

Po zawodach odbyło się integracyjne spotkanie w namiocie. Byli z nami: Zygmunt Jeżewski, członek Zarządu Powiatu Poznańskiego, Tomasz Zwoliński, wiceburmistrz, Elżbieta Bijaczewska, dyrektor PCPR w Poznaniu,



FOT. (5X) ARCHIWUM SPĐST

posłowie Bożena Szydłowska i Bartłomiej Wróblewski oraz radni: Barbara Antoniewicz, Marek Lis, Paweł Bocian, Zdzisław Kulczyński, Wojciech Kmiecik i Tomasz Jęczmionka.

Dziękujemy władzom samorządowym powiatu i gmi-

ny oraz darczyńcom Igrzysk: Swarzędzkiemu Centrum Sportu i Rekreacji, Firmie BLUM, Strzeleckiemu Bractwu Kurkowemu, Orkiestrze Dętej ze Swarzędza, Małgorzacie Nowak z Cukierni „Magdalenka”, Fundacji EKOS i wolontariuszom.

Po drodze latarnia morska



Uczestnicy Klubu Seniora „Brzozy” w Poznaniu od 4 do 11 czerwca przebywali nad morzem w miejscowości Międzywodzie, niedaleko Międzyzdrojów i Swinoujścia. Przedpołudniami spacerowali, opalali się, kąpali się w morzu. Każdego dnia po popołudniu czekały na nich atrakcyjne zajęcia.

Organizowano zabawy zapoznawcze, śpiewy przy świecach, zawody sportowe. Na jednej z zabaw wręczono medale za zajęcie 1, 2 i 3 miejsca w konkursie na najładniejszą kreację sportową. Zawody sportowe, złożone z czterech konkurencji, dostosowane były do możliwości seniorów. Jedną z atrakcji tygodniowego pobytu nad morzem była wycieczka do Swinoujścia. Wycieczkowicze obejrzeli po drodze jezioro lazurowe, a w samym Swinoujściu zwiedzili największą w Polsce latarnię morską.

ROBERT WRZESIŃSKI



W krainie fantazji

16 czerwca braliśmy udział w festynie w Rakowni koło Murowanej Gośliny. Tematem spotkania była „Kraina Fantazji”. Jak co roku po raz piętnasty otworzyły się przed nami drzwi do świata baśni i czarów. Mogliśmy odkryć swoją drogę do bajek i filmów, a także spotkać dzielnych wojowników, których walki zapierały dech w piersiach.

Mogliśmy spróbować swoich sił w konkurencjach sportowych w wielu dyscyplinach, a przede wszystkim sprawdzić swoją sprawność fizyczną. Usłyszeliśmy wiele ładnych piosenek, które wykonały osoby niewidome i słabowidzące pod kierunkiem Henryka Weredy. Serdecznie dziękujemy za wspaniałe nagrody, które będą przypominały wspólnie spędzony czas. Dziękujemy Goślińskiemu Stowarzyszeniu Przyjaciół Osób Niepełnosprawnych z Murowanej Gośliny i z okazji jubileuszu życzymy organizatorom wielu tak udanych imprez.

MIROSŁAWA PENCZYŃSKA



Podwójne urodziny

Wzruszające urodzinowe spotkanie odbyło się 20 czerwca w Klubie Seniora „Brzozy”. Jego dwie najstarsze członkinie obchodziły dziewięćdziesiąte urodziny.

Marianna Kosmala urodziła w miejscowości Osiek powiat Wieluń. Podczas II wojny światowej została wywieziona w pobliże frontu wschodniego, gdzie zmuszona była przez hitlerowców do niewolniczej pracy kopania okopów. W Poznaniu mieszka od 1952 roku, pracowała jako kelnerka w kawiarniach. Mieszka na osiedlu Rusa od jego powstania, w tym samym bloku, w którym znajduje się siedziba KS „Brzozy”.

Tak się złożyło, że Zofia Szmigiero mieszka w tym samym bloku, co jej przyjaciółka, solenizantka pani Maria. Obie też panie stały się niemal równocześnie uczestniczkami „Brzóz”, gdy tylko ta placówka powstała. Pani Zofia urodziła się 15 czerwca w miejscowości Jaszczuły na Mazowszu. Dobrze pamięta okupację hitlerowską. Niemcy pewnego dnia wpędzili mężczyzn do stodoły, aby ich spalić. To był czas grozy.

Obie panie ze wzruszeniem wspominały swoje losy, które szczęśliwie zbiegły się w poznańskim Klubie Seniora „Brzozy”.

ROBERT WRZESIŃSKI



FOT. ROBERT WRZESIŃSKI

Smutni kochankowie

Wpoprzednich numerach „Filantropa” przedstawiłem Państwu wybitnego niewidomego profesora Witolda Kondrackiego, matematyka, fizyka i pisarza. Nie powtarzając więc informacji o nim dodam, że mimo wybuchu, który sam spowodował w wieku czternastu lat i utraty wzroku, zachował zdumiewająco bogatą, nieprzeciętną wyobraźnię twórczą. W prezentowanym tu kolejnym opowiadaniu Witka chyba nikt nie zdołałby odnaleźć potwierdzeń, że autor nic nie widział. Okazało się, że widząc normalnie do czternastego roku życia zdołał tyle zapamiętać i tak świetnie zrozumieć naturę światła, obrazu i całej wizualnej rzeczywistości, że to mu starczyło na pozostałe pół wieku życia. Dzięki temu opowiadał o świecie nie tylko wysłuchanym, ale także oglądanym. Uświadamiamy to sobie, czytając opowiadanie „Smutni kochankowie”. Z każdym zdaniem rośnie szacunek dla pisarstwa tego człowieka. Dla jego umiejętności tworzenia widzialnego świata.

MAREK KALBARCZYK

Nie wiem jak znalazłem się w tym pokoju. Nic nie pamiętam. Czasem wydaje mi się, jakbym spędził tu wiele lat... Chodzę bezustannie dookoła pokoju, nieskończenie kontemplując jego ciemne, jakby okopcone ściany. Na bieli wyraźnie odznaczają się smugi czarnej sadzy. Niekiedy widzę, jak spomiędzy nich wyłania się twarz dziewczyny o czarnych włosach. Widzę też jej delikatną, smukłą sylwetkę.

Zdarza się, że rozmawiamy, bez głosu, odkryliśmy bowiem, że istnieje sposób bezpośredniego przekazywania myśli i uczuć. Te przepojone smutkiem i melancholią dialogi są jednak sporadyczne. Wydaje mi się, że kiedyś kochałem tę dziewczynę. Nie mogę sobie przypomnieć... Nie pamiętam nawet, jak ma na imię. Zdaje mi się, że kiedyś, przed

wielu laty, widziałem jej profil na tle płomieni. W czarnych włosach zamigotały wtedy drobne światełka, a twarz lekko ściemniała. Zresztą, może to wszystko nieprawda. Może to po prostu był tylko straszny sen.

Swoją drogą wydaje mi się, że nie spałem już od wielu lat. Nocami obserwuję gwiazdy, widoczne przez szczeliny w splekanym suficie. Jest to jedyny kontakt, jaki mam ze światem. Mimo że znam już na pamięć wszystkie widoczne gwiazdozbiory, za każdym razem wzrusza mnie ich majestatyczne, pełne spokoju i równowagi piękno. Lubię dzielić się tą fascynacją z dziewczyną. Widzę wtedy jej smutny, pełen zadumy uśmiech i wydaje mi się, że moja samotność nie jest aż tak wielka. Lecz po jakimś czasie dziewczyna odchodzi, cofając się w głąb ściany i znowu zostaję zupełnie sam.

Nie lubię deszczu. Woda przecieka przez dziury w suficie i zimne krople przelatują na wskroś przeze mnie. Przypomina mi to, że coś jest ze mną nie w porządku. To samo zresztą dotyczy się dziewczyny, która, jak mi się wydaje, w dużym mierze jest cieniem...

Gdybym mógł sobie przypomnieć... Ona miała chyba na imię Irena... Czy to możliwe, żeby mnie kiedyś kochała?... Ile to mogło być lat temu?...

Dlaczego czasem wydaje mi się, że widziałem płomienie w oknie?... Dziś okno jest zabite deskami. Mrok rozświetlają tylko wąskie promienie przeciskające się przez szpary. Czasem smuga światła pada w dół i widać zwęgloną podłogę.

Jak to było?... Ona chyba miała na imię Danuta. Nie pamiętam.... I ten ból, który towarzyszy mi od tylu lat... Dlaczego tak boli?... Gdy ona przychodzi, czuję ulgę, tak jakby cierpienie dzieliło się na nas dwoje.

Widzę jej cień przesuwający się po ścianie. Nie odchodzi! Już znikła... Został tylko cień uśmiechu, ale on też się roz-

plywa... A może to tylko przywidzenie...

Moim przyjaciелеm jest duży, stary pajak. Lubię patrzeć, jak codziennie pracowicie udoskonala i rozbudowuje swoją misterną sieć. Jest kosmaty, brunatny, z białym kropkowanym krzyżem na grzbiecie. Często tkwi nieruchomo, zawieszony w swej pajęczynie, spędzając dziesiątki godzin na czekaniu. Jego czas musi płynąć chyba tak powoli jak mój. Przypuszczam, że jest filozofem, a w każdym razie na pewno myślicielem; jakże inaczej mógłby znieść swoją nieskończoną samotność. Ciekaw jestem, czy mnie dostrzega... Myślę, że nie, bo nigdy nie okazał mi ani zainteresowania, ani strachu.

Niekiedy obserwuję, jak na ścianie powstaje pęknięcie. Zrazu jest ono drobne, przypominające kształtem kurzą łapkę. W miarę upływu czasu pogłębia się jednak i wydłuża, a w szczelinie gromadzi się kurz. Ilość pęknięć rośnie z miesiąca na miesiąc, nadając ścianom dodatkową, niebanalną fakturę pełną zawiłych arabesków i zagadkowych symboli. Obserwowanie tego procesu pozwala mi unaocznic sobie, jak bardzo nietrwałe jest wszystko to, co materialne.

...i proszę panią, to już będzie z osiem albo i dziewięć lat jak ten dom się spalił. Nikt go nie chce kupić, bo powiadają, że tam straszy. Właściciel się tam spalił razem z jego kochanką. Całkiem na węgiel się upiekli. Żona, powiadają, dowiedziała się, że on tam jest z kochanką, wzięła kanister z benzyną i podpaliła. I oni teraz tam straszą. Byli tacy, co nawet chcieli kupić tę ruinę, ale jak tylko tam wchodzili, to taki żal ich ogarniał i strach jakiś, że rezygnowali. I tak stoi to i niszczeje, a ludzie powiadają, że oni... no wie pani, oni... tam w środku... żyją...

WITOLD KONDRACKI

Kocham cię – życie!⁽⁴⁾

Obecnie wokół mnie trzeba mi to dyskomfort i nie czuję się z tym najlepiej. Zawsze jednak staram się być jak najbardziej samodzielny i nigdy nie oczekuję biernie, aż inni wszystko za mnie zrobią. Ale samego siebie przecież nie przeskoczę. I dlatego jestem skazany na pomoc osób trzecich. Oczywiście pogodziłem się z tą sytuacją, ale tak ciężko jest człowiekowi, gdy nie potrafi wykonać wokół siebie podstawowych czynności życiowych i gdy musi prosić o to inne osoby. To uczy niebawale pokory i cierpliwości. Ale takie jest nasze życie.

Cieszy mnie każdy dzień i радуje każda ulotna chwila. We wszystkim tkwi jakieś piękno i ukryty czar, których często nie potrafimy dostrzec. Mimo wszystko życie jest wspaniałe! Jakże piękne są letnie przedpołudnia na moim przydomowym podjeździe. Drzwi do mieszkania mam na oścież otwarte i swobodnie mogę się przemieszczać to w jedną, to w drugą stronę. Słońce tak pięknie śmieje się do mnie, mówiąc mi „dzień dobry!”. A kwiaty – pielęgnowane czułą ręką sąsiadki – chylą, się nisko we wdzięcznym i kolorowym pokłonie, jakby chciały ukazać mi swoje uroczne piękno i delikatny zapach lata. Aż chce się żyć – i uwielbiać Boga i ludzi... A kot rozgrzany promieniami słońca, mruczając po swojemu, przeciąga się rozkosznie, jakby też chciał wyrazić swoje uwielbienie.

Czy gdziekolwiek będzie mi lepiej?... Gdzież tak wspaniale smakowałoby mi śniadanie? Gdzie wspólny z sąsiadami pies przyjaźnie zamerdałby mi ogonem i nadstawił do pogłaskania swój łeb w radosnym oczekiwaniu, że może i jemu skapnie coś z „pańskiego stołu”? Nasze podwórko – sąsiadów i moje – łączą drzwi wykute w dzieliącym je murze, przez które biegnie ścieżka mojego życia. Ze wsząd do biega mnie gdakanie kur, przechwalać się tym, że właśnie zniósł jajko, a kogut swym doniosłym pianiem triumfalnie im wtóruje, jakby to była jego największa zasługa. Sama radość o poranku.

Często jestem świadkiem wesołych scenek z udziałem psa i kota. Bo pies, jak pies...

Niekiedy musi pogonić kota, pomimo że na ogół żyją w zgo-

dzie. Czasem mu się to udaje, a czasami nie, gdy kot się postawi. Ale najzabawniejsze jest w tym to, że kot czmycha w jedną stronę, a pies... biegnie w przeciwną. Biedaczysko, on już nie dowidzi. I jakże często nadziewa się przez to na jakąś „wyrósłą” przed nim przeszkodę. Czasami aż mi go szczerze żal. Wdzięczne z niego stworzenie. A jak radośnie szczeka, gdy wracam ze wsi do domu i podjeżdżam pod zamkniętą furtkę. Czyni tyle hałasu, że sąsiedzi od razu wiedzą, iż trzeba mi otworzyć. A potem wdrapuje się na podnóżki wózka i miłutko się łasi. Nie wyobrażam sobie, jakby mogło zabraknąć tych dwóch stworów w moim życiu. Jakże one rozumieją, co do nich mówię... Bo mojemu kocurowi też darzę wielkim i szczególnym sentymentem. Potrafi wskoczyć na kolana i domagać się kolejnej porcji pyszczoł. Wychowywała go przecież jeszcze Krysia, od momentu, gdy przyszedł na świat, co miało miejsce w naszej kuchni w 1999 roku (jeszcze XX wiek). To ona kształtowała jego koci charakter. A więc jest on dla mnie żywym uosobieniem tamtego, jakże radosnego okresu.

Przedemną jeszcze wiele trudnych chwil, ale myślę, że i dobrych też. Kiedyś miałem być wieziony na operację, ale zapragnąłem zobaczyć się jeszcze z księdzem. Tak się złożyło, że księdzka nie było w kaplicy i trwało to ponad godzinę, zanim do mnie dotarł. I właśnie ten czas mnie uratował. Zaszły pewne – jakże dla mnie pomyślne – okoliczności, więc konieczna operacja okazała się... niekonieczna. I obyło się bez niej. Uff! Mimo to dwa tygodnie w szpitalu dały mi się we znaki. Spotkałem się tam z bardzo nieprzyjemnym, by nie powiedzieć prostackim i aroganckim zachowaniem niektórych pań z personelu średniego. Nie jestem przewrażliwiony czy rozkapryszony, mogę wiele zrozumieć i dużo znieść, ale wydaje mi się, że pewne minimum kultury obowiązuje nas wszystkich. A zwłaszcza w szpitalu, gdzie z założenia ma się nieść ulgę, a nie przysparzać trudnych sytuacji i cierpień. Kto tego nie rozumie, nie powinien tam pracować. Nie był to dla mnie łatwy okres.

Czyż jestem winien swojej choroby, jak i temu, że wymagam szczególnej opieki? W pełni zdaję sobie sprawę, że jestem

tak zwanym ciężkim przypadkiem, co dla mnie też jest bardzo uciążliwe i męczące. Też wolałbym obsłużyć się sam i być w pełni niezależnym niż ciągle prosić o pomoc, niekiedy w bardzo kłopotliwych sytuacjach. Dlatego też rozumiem i drugą stronę, że i dla niej może to być kłopotliwe, ale na miłość boską – nie w szpitalu! Na szczęście były i takie miłe, i uczynne panie, którym uśmiech nigdy nie schodził z ust. Jakże było to przyjemne i budujące. A przecież i te panie nie miały większego uposażenia od tamtych, które za „marne grosze nie będą harować jak te robocze woły!”. Co to oznacza być człowiekiem wielkiego serca. Takiej osobie nigdy nie jest za ciężko – i to bez względu na sytuację. Moja wdzięczność dla tych pań była ogromna.

Nie można ciągle wszystkiego przeliczać na korzyści materialne, jak to czynią niektóre osoby, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. A co mają zrobić ci najslabsi i najbardziej potrzebujący? W jakże szczęśliwym jestem teraz położeniu, gdyż mogę cieszyć się sąsiedzką życzliwością. A sąsiadka zrobi wszystko. I pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że do szpitala już więcej nie trafię.

MOJE RADOŚCI

Mój wózek otrzymany jeszcze z darów nie wytrzymał próby czasu. Pocciwy staruszek. Przejściowo jeździłem na wózku wypożyczonym od znajomych z Poznania, pora była więc najwyższa, aby pomyśleć o nowym. Tylko że one tak dużo kosztują. Dopisało mi jednak szczęście, bo PFRON ogłosił program na wózki. Rozpocząłem więc starania. I znów z niezawodną pomocą przyszła moja znajoma, która jak wtedy przy remoncie mieszkania, tak i teraz załatwiała mi wszystkie niezbędne formalności, a było ich sporo. Poparcia udzielił mi też nieoceniony pan Niemczyk z Poznania. I otrzymałem dofinansowanie. Przyznano mi kwotę dwunastu tysięcy złotych. Radość moja była przeogromna. Kupiłem sobie piękny wózek – TRACER – produkowany w Trzebnicy. Nabyłem go bezpośrednio u producenta, przez co uzyskałem ileś tam procent (nie pamiętam ile) rabatu. Ale i tak musiałem jeszcze dopłacić około dwóch tysięcy złotych, które – na szczęście – sponsorowała mi owa znajoma.

Jestem więc szczęśliwym użytkownikiem i posiadaczem nowitkiego wehikułu, który został mi dostarczony bezpośredni do domu. Życie uśmiechnęło się do mnie po raz kolejny.

Teraz znów świat stoi przede mną otworem. Mogę jeździć, gdzie tylko dusza zapagnie, a serce podpowie. Zawsze marzyło mi się, aby powrócić do wydarzeń z dzieciństwa, kiedy to z pieszą pielgrzymką (u boku mamy) mogłem pójść na odpust Matki Boskiej Wniebowziętej (15 sierpnia) do odległego o około pięć kilometrów sanktuarium maryjnego. Jest to w małej i uroczej miejscowości, a sam kościółek-sanktuarium leży na wzniesieniu, skąd rozciąga się wspaniały widok. I właśnie tam zamarzyło mi się pójść, aby najlepszej Matce podziękować za wszelkie doznane dobra i prosić o dalsze potrzebne łaski. A dziękować miałem – i mam – za co! Musiałem przecież podziękować Mateczce za ten nowy wózek, którym mogłem dotrzeć teraz na to sanktuarium wzgórze, jak i za to, że uciekłem chirurgowi spod noża. (Nie wiem, co by się wówczas ze mną stało.)

W tym roku byłem tam już po raz trzeci. Ale do historii przeszedł właśnie ten pierwszy raz. Cóż to była za sensacja! Wybrałem się z osobą towarzyszącą. Ale cóż to była za osoba... Moja znajoma ze wsi – osoba... niewidoma. Gdy znajomi nas tam zobaczyli, że zdziwienia oczy wychodziły im z orbit, a gdy jeszcze usłyszeli, że dotarliśmy na miejsce sami, to aż je przecierali ze zdumienia. Musiał to być dość niesamowity widok – niewidoma i inwalida na wózku. Liczyła się to, że spełniły się nasze pragnienia. Ja we wspomnieniach wróciłem do lat dzieciństwa, a moja znajoma nie była tam już dziesięć lat, a zawsze marzyła o tym, aby jeszcze raz tam pójść. Przez cały ten czas jakoś nikt jej tego nie zaproponował. Zgadaliśmy się o tym – no i w drogę. Znajoma twierdzi, że idąc przy moim wózku, czuła się całkiem bezpieczna i pewna. I mogłaby tak iść aż na koniec świata. W odwodzie mieliśmy syna sąsiadów, który „miał na nas oko”. Oczywiście, czynił to z pewnej odległości, bardzo subtelnie, jadąc za nami rowerem.

cdn.

HENRYK MARCINEK

Gdzie myszy zjadły okrutnika



A.M. Krystosik
Gromadzińska
SZCZECIN

FOT. ARCHIWUM WITZ



Od 4 do 6 lipca uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Doruchowie, działającego przy Fundacji Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych „Miłosierdzie” w Kaliszu, przebywali na wycieczce w Toruniu.

Mimo trudności finansowych, z jakimi boryka się Warsztat, udało się zebrać potrzebną kwotę dla 17-osobowej grupy uczestników i ich opiekunów. Koszty wyjazdu zostały pokryte dzięki sprzedaży prac, które wykonują sami uczestnicy.

W drodze do Torunia zatrzymaliśmy się w Kruszwicy, pięknie położonej nad jeziorem Gopło. Byliśmy w kolegiacie kruszwickiej z początku XII wieku. Podziwialiśmy bardzo grube, kamienne mury

tej budowli. Przewodnik opowiedział nam znaną legendę o okrutnym królu Popielu, którego w tej zabytkowej bazylice myszy zjadły. Stąd jej nazwa – Mysia Wieża. Z jej szczytu podziwialiśmy piękne widoki Kujaw. Pływaliśmy też statkiem „Rusalka” po jeziorze Gopło.

W Toruniu zwiedziliśmy Bulwar Filadelfijski, Krzywą Wieżę, Pomnik Mikołaja Kopernika, ruiny zamku Krzyżackiego, osł – pregiarz dla żołnierzy, Dwór Artusa, dom Mikołaja Kopernika, Planetarium. A w Muzeum Piernika samodzielnie wypiekaliśmy pierniki. W Ciechocinku byliśmy na spacerze wokół Tężni Solankowych, wdychając uzdrawiające powietrze.

ELŻBIETA WOJCIECHOWSKA

To nie na moje nerwy, chciałoby się powiedzieć. Ironia losu, a raczej jego złośliwość. Podły bywa czasami. Trzeba mu to przyznać. Tak było i tym razem. Wykazał się nasz los.

Awarię cyklera już przerabialiśmy. Było to 1 listopada, w dzień wolny od pracy. Ale sobota też jest dobra. Może nawet lepsza dla naszego losu, bo po niej jest przecież niedziela, kolejny wolny od pracy dzień. Czyli taki dzień, w którym nic się nie da załatwić. Nie da się sprowadzić cyklera na zamiannę na następny wieczór. Najwcześniej na wtorkowy wieczór może być drugi cykler...

Może jednak zacznę od początku. Jacek poza domem. Daleko poza domem, bo aż w Danii. Spokojny wieczór. No, może niespokojny, bo po wyjątkowo upalnym dniu rozszalała się burza. Zaczęłam swoją procedurę. Od 17 sprzątam pokój. Posprzątałam. Zdezynfekowałam co trzeba. Przeszłam do kolejnego kroku. Włączenie cyklera. Poszło gładko. Zamruczał. Westchnął. Podłączyłam worki. Rozpoczęła się procedura wypełniania zestawu. Maszyna sobie świetnie sama z tym radzi. Już żadne moje działania nie są potrzebne. Wysłałam więc na chwilę z pokoju, by napić się wody. Podejrzana cisza. Nie słychać jak cykler pracuje. Mam na niego wyczulone ucho. Przez zamknięte drzwi, dwa pokoje dalej, słyszę jak szumi. Wróciłam więc do pokoju. I... „czarność”. Nic się nie wyświetla. Żaden przycisk nie działa! Wyłączenie i włączenie nic nie pomogło. „Czarność” i cisza.

No tak – pomyślałam. Świetny moment na awarię. Po prostu super! Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to telefon do Naszego Doktora. Trudno, że sobota wieczór. Co robić?

Doktor nie odbiera. Odpisał, że nie może rozmawiać. Pozostała więc krótka wymiana SMS-ów. Przechodzimy na dializy ręczne.

Zaczęłam więc kolejną procedurę. Przygotowanie wag, stojaka, innych worków. Czym ogrzać worki? – pojawiło się nagle pytanie. Poprzednio grzałam cyklerem. Pomyślałam, że koc elektryczny będzie dobry.

Owinęłam więc worek, walcząc w międzyczasie z wagami.

Przy poprzednich problemach z dializą, gdy konieczna była ręczna, zepsuła się nam waga do worka wpustowego. Co chwilę się resetowała. Producent wymienił ją na nową. Tym razem szalała dolna waga – do worka wypustowego. Wyświetlała komunikat „LH”. No i z czym to skojarzyć? L jak low – czyli niski? Niski co? Może niski poziom naładowania? A może H jak high – czyli wysoki? Ale wysokie co? Producent nie dołączył instrukcji papierowej. Tylko na płytce. Mój komputer nie ma odtwarzacza DVD. Na szczęście komputer domowy ma. Trzeba więc było go uruchomić. Płytkę się załadowała i wyświetlił się milion plików. Żaden nie miał polskiej nazwy. W końcu znalazłam coś, co oznaczało ustawienia. Po wejściu do tego pliku wyświetlała się lista, też po angielsku. Trzeba było kliknąć komunikaty – też znając język angielski. Dopiero po znalezieniu zagadnienia, którego się szukało, można było wybrać język i dalej o swoim problemie czytać w języku ojczystym. Gdzie sens? Gdzie logika?

Problem z wagą okazał się trywialny. Gdy się ją włączało, nic nie mogło na niej leżeć. Można ją było wytarować dopiero, gdy się pokazały magiczne zera, na które tak czekałam.

A czas płynął. Straciłam już ponad 40 minut. Musiałam jeszcze zadzwonić do Warszawy, by zgłosić problem na oddziale. Zadzwonić do Baxtera, do osoby od awarii i też zgłosić problem. I został jeszcze telefon do Jacka. Był w drodze powrotnej, gdzieś w Niemczech. Na szczęście już niedaleko.

Jeszcze tylko szybkie przypomnienie zasad prowadzenia dializy ręcznej i można zaczynać. Ale... worek wciąż za zimny... trzeba było czekać.

Po około półtorej godzinie byliśmy gotowi. Zaczęliśmy od drenażu. Nic nie wyleciało. Płukanie, wpust. Ok. Wszystko szło dobrze. Aż do momentu (tak, były momenty), w którym zaczęliśmy drenaż. Pomalutku, bez pośpiechu wypływał z otrzewnej płyn. 10 minut, 20, 30... w końcu przestał płynąć. Waga wskazywała stan ponad to, co wpłynęło. To dobrze. Trochę się Paweł odwodnił. I tak robiliśmy wymiany, cztery z przewidzianych, i zrobiło się ciemno. A potem już całkiem ciemno. Za każdym razem cierpliwie czekałam aż wszystko



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Dwa życia⁽⁴⁷⁾

TO NIE NA MOJE NERWY

wypłynię. Paweł spał. Siedziałam na skraju łóżka i wpatrywałam się w wagę. Gdy były leżakowania, bałam się położyć. Bałam się, że się nie zbudzę, by robić kolejną wymianę. Mieliśmy zacząć o 19 i skończyć o 23. Skończyliśmy po 2 w nocy.

I wtedy właśnie zbudził się Paweł. Pewnie gdy zakładałam mu maskę, by go odłączyć od zestawu. „Mamo posiedź ze mną” – wymamrotał. Wyciągnął ręce. I serce zmiało. Siedziałam, głaskałam. Nawet opowiadałam jakąś historię, ale nie pamiętam, o czym. Byłam koszmarnie zmęczona. Gdy Paweł zasnął, podreptałam do sypialni. Zasnąłam. Pawcio zawołał, że boli go kolano. Posmarowałam, posiedziałam. Powłócząc nogami dotarłam do sypialni. Zasnąłam. I... od razu zadzwonił budzik. Czasami tak się dzieje, że pomimo faktu, iż śpi się przecież dwie, nawet trzy godziny, to czas ten mija jak dwie, trzy sekundy.

Powlekłam się do Pawła pokoju. Spał. Owinęłam worek w koc elektryczny, by zdążył się nagrzać do 6 i czekałam. Minęło 20 minut. Koc się już powinien nagrzać. Był zimny. Kolejne 10 minut, wciąż zimny. I to był następny z momentów, gdy z bezsilności nawet płakać mi się nie chciało. 6 rano – jak ogrzać worek z płynem do dializy? Mózg nie chciał szybko pracować. Grzejnik. Tak, grzejnik będzie dobry. Wyciągnęłam z dna szafy dawno nieużywany grzejnik, który jeździł z nami na wakacje, gdy Pawcio był mały.

Włączyłam nawiew powierza. Nieprzyjemnie ciepła bryza omiatała nie tylko worek, ale i mnie. Dlaczego nieprzyjemnie ciepła? Bo mamy wyjątkowo upalne dni, a przed podłączeniem Pawła nie mogę otworzyć okna. Cała byłam mokra. Przekładałam worek z ręki do ręki, co chwilę delikatnie mieszając jego zawartość, by równomiernie się nagrzewał. Trwało to wieczność. Przynajmniej w moim odczuciu. Czas płynął. Znow „złapał” opóźnienie.

W końcu worek miał temperaturę 35,8 stopnia. Pomyślałam, że może być. Zaczęłam dializę. Okazało się, że jednak nie może być. Pawełka zaczę-

ło boleć ramię. Płyn musi być cieplejszy. Leżakowanie. Po 10 minutach, mając jeszcze 45, zaczęłam grzać worek. Zdążyłam. Płyn miał 36,6 OC. Poszło dobrze. I pomyślałam, że Pawcio zaśnie. Nie... postanowił już wstać. Popatrzyłam tęsknym wzrokiem na kanapę. Musiałam mu pomóc przejść z workami do drugiego pokoju. Chciał sobie pograć. Potem kolejne wymiany, w międzyczasie zrobiłam obiad. I nawet nie byłam taka zmęczona. Skończyliśmy o 13, a mieliśmy zacząć o 6 i skończyć o 10. Ale ze mnie „grzebuła”, pomyślałam. Ale to przecież ten koc, a potem drenaż. Drenaż ciągnące się jak guma... długo... nawet 50 minut.

W międzyczasie... W nocy wrócił Jacek. Zmęczony. Przejechał 1000 kilometrów. Postanowiliśmy, że skoro świt, wyruszy do Warszawy, by z oddziału pożyczyć cykler. Wstał o 5.20 i pojechał. Na wieczór wrócił.

Wysprzątałam pokój. Wszystko przygotowaliśmy. Poszliśmy razem włączyć maszynę, na którą spoglądaliśmy jak na wybawienie. Włączyłam ją.

Maszyna wydała z siebie przeraźliwie głośny, piskliwy i niekończący się dźwięk. Na wyświetlaczy pojawił się komunikat „Błąd systemowy nr 2”. Byłam bliska omdlenia. To nie na moje nerwy, to nie na moje nerwy!!! Panika mieszała się z bezsilnością. Byłam biała jak ściana. Ta biała, bo teraz są przecież kolorowe.

Jacek maszynę wyłączył. Patrzyłam na niego i zadawałam sobie pytanie, skąd w nim taki spokój? Ja już nie oddychałam. Wyłączył cykler i włączył go ponownie. Długo, długo nic... a potem piknął, pojawiły się znajome kwadraciki i cała reszta...

Zaczęłam oddychać. To nie na moje nerwy! Resztę procedury przejął Jacek.

Mamy nowy cykler. To już trzeci. Pierwszy burczał jak traktor, drugi klekotał jak bocian, trzeci pogwizduje.

POMIĘDZY

Nie ma końca. Nie ma też początku. Jest tylko „pomiędzy”. Pomiędzy jednym a drugim wyjazdem do Warszawy.

Pomiędzy tym a tamtym życiem. Pomiędzy jednym a drugim badaniem, pomiędzy zabiegami, pomiędzy dializami. Staramy się, by treścią życia było jednak to „pomiędzy”. Dbamy o jakość czasu, który możemy spędzić razem, w domu. Tym czy tamtym... ale w domu. Szpital nigdy nim nie będzie.

„Pomiędzy”... z duszą na ramieniu, ale jedziemy na wycieczkę do Łodzi. Przecież to blisko od Warszawy. Wyruszamy do Eberswalde, które od Szczecina dzieli nieco ponad godzina drogi, by głaskać samy i spacerować podglądając życie innych zwierząt. „Pomiędzy” wyskakujemy na popołudniowe lody, albo przedpołudniowe zakupy. „Pomiędzy” gotujemy, gramy w gry, albo po prostu leżymy oglądając razem filmy.

Nie mamy już wielkich planów i marzeń. Nawet o domku na działce przestaliśmy myśleć. Nie wiem dlaczego. Może za dużo jest na razie znaków za-

pytania. Kurczowo trzymamy się jednak „pomiędzy”, czasu wyrwanego z mniej lubianego życia.

Może to jest właśnie cieszenie się małymi rzeczami. Może takie chwile dają właśnie szczęście? Nie wiem. Nie chodzi o definicję. Po prostu mamy nasze „pomiędzy”.

Bo coś trzeba mieć. Nie można myśleć tylko o tym co nas czeka. O dializie, o przeszczepie, o wynikach badań. Można, a nawet chyba trzeba myśleć odwrotnie. Reszta i tak się wydarzy. Prędzej czy później. Trzeba mieć tylko ufność, że we właściwym czasie. Trzeba wierzyć? Chyba tak. Trzeba wierzyć, że będzie najlepiej jak być może. Nie mam odwagi napisać dobrze. Może to mój problem. Może wciąż wierzę za mało. Trudno. Inaczej nie umiem. Mogę tylko w ciży serca i pokorze czekać żyjąc „pomiędzy”.

cdn.



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Niedawno oglądałem niezwykły film, który poruszył mnie do głębi. Mój gust filmowy jest różny. Preferuję raczej horrory i filmy akcji, także fantastykę i... bajki. Czasem obejrzę coś historycznego, dokument albo film przyrodniczy. Kiedy ukazał się film pod tytułem „Sesje” opowiadający historię sparaliżowanego mężczyzny, który chcąc poznać smak seksu opłaca seksualną terapeutkę, obejrzałem go z zaciekawieniem. Tematyka osób niepełnosprawnych tak mnie zaciekawiła, że zacząłem szukać podobnych filmów.

Jednym z moich ulubionych filmów jest film pod tytułem „Moja lewa stopa”. To historia Christy’ego Browna, malarza i pisarza tworzącego dzieła lewą stopą. Także „Nietykalnych” obejrzałem z ogromną przyjemnością i wiele innych filmów (aktualnie mam w folderze 28 filmów o tematyce niepełnosprawności).

Nie pamiętam już, w jaki sposób natrafiłem w Internecie na opis filmu „W stronę morza”. Miał on już kilka lat (pochodzi z 2004 roku), ale wcześniej jakoś nie trafiłem na niego. Gdy przeczytałem opis na portalu filmowym Filmweb, postanowiłem go poszukać, ściągnąć na komputer i obejrzeć. Kiedy wyładował na moim dysku, poszedł na pewien czas w odstawkę, bo miałem trochę pracy. Ostatnio nie mając nic do roboty postanowiłem coś obejrzeć. Przetrzymałem jeden film, potem drugi, aż w końcu przypomniałem sobie, co czeka na mnie. Włączyłem komputer, odpaliłem film i wsiąknął w dwie godziny.

„W stronę morza” opowiada o mężczyźnie sparaliżowanym po skoku do wody, który przez prawie 30 lat walczył o... śmierć. Choć był otoczony opieką rodziny i przyjaciół, cały czas starał się o skrócenie cierpienia. Gdy sąd nie godzi się na eutanazję, bohater postanawia popełnić samobójstwo. Na końcu jego marzenie o śmierci się spełnia – wypija wodę z cyjankiem i odchodzi.

Po skończonym seansie siedziałem jakiś czas w milczeniu, patrzyłem w okno, a przez głowę przechodziły mi różne myśli. Nie wiem czemu, ale ten film wydał mi się bliski.

Odkąd FOP posadziła mnie na wózku, śmierć (a raczej myśl o

13 GRUDNIA 2013

O eutanazji

niej) była przy mnie często. Kiedy kogoś dotyka nieuleczalna choroba, która powoli paraliżuje i odbiera sprawność, myśl o odebraniu sobie życia prędzej czy później przychodzi do głowy. Po co żyć, kiedy nie ma nadziei na wyzdrowienie, gdy jest się unieruchomionym w pancerzu z kości, zależnym od innych, kiedy odczuwa się nieustający ból, z tyłu rzeczy trzeba rezygnować...

Ze mną tak właśnie było. Po kilku latach spędzonych na wózku miałem dość takiego życia. Po głowie chodziły mi różne sposoby na skończenie ze sobą. Siedziałem w pokoju i całymi dniami obmyślałem najlepszy plan odejścia. Śmierć stała się niejako moją obsesją. Nie miałem wtedy jeszcze dostępu do Internetu, wszechwiedzącego „wujka Google” pod ręką. Sam musiałem wszystko zaplanować. Przeanalizowałem różne scenariusze śmierci – otrucie lekami, porażenie prądem, wbicie noża w serce, utopienie się, „złoty strzał” z narkotyków. Szacowałem szanse powodzenia planu, myślałem nad szczegółami... aż pewnego razu, w przypływie depresyjnego nastroju, postanowiłem podciąć sobie żyły. Kupiłem w sklepie ży-

letkę (niby do golenia) i pewnego ranka, gdy się myłem (robię to samodzielnie przy pomocy myjki), uszykowałem sobie żyłkę i... pojechałem po lewym przegubie. Ból rozcinanej skóry był na tyle silny, że nie miałem odwagi „ciachnąć” się ponownie. Włożyłem rękę do miski z wodą i czekałem na śmierć. Niestety, nacięcie było tylko powierzchowne, po kilku minutach przestało krwawić. Nie miałem więcej siły i odwagi, aby zrealizować któryś z pozostałych scenariuszy. Ale myśli o śmierci nadal mi towarzyszyły.

Czytałem kiedyś w Internecie artykuł na temat eutanazji. Opisywane były kraje, w których eutanazja jest dozwolona (m.in. Holandia, Luksemburg, Belgia). Zaciekała mnie Szwajcaria, w której sama eutanazja jest zakazana, ale kiedy człowiek jest nieuleczalnie chory, dozwolone jest wspomaganie samobójstwa.

Po obejrzeniu „W stronę morza” rozmyślałem nad głównym bohaterem i jego pragnieniem śmierci. Gdybym był na jego miejscu, sparaliżowany od szyi w dół, leżący od wielu lat w łóżku, bez cienia nadziei, zapewne sam chciałbym postąpić

tak samo. Ale chociaż (jeszcze) nie jestem w takim stanie jak on, czasem przemyka mi przez głowę myśl o śmierci. Nie ma to nic wspólnego z depresją czy zaburzeniami psychicznymi (umysłowo jestem w pełni sprawny). Po prostu z każdym upływającym rokiem czuję się coraz bardziej schorowany i zmęczony. FOP postępuje naprzód, atakuje moje ręce i nogi, jakby chciała mi odebrać tę resztkę sprawności, jaka jeszcze mi została. Nie chcę za kilka lat wyładować na stałe w łóżku, ponieważ moje nogi nie będą już w stanie mnie nosić. Nie mam żadnych zobowiązań. Jedyne co mam, to ból i nieustające cierpienie. Więc gdybym miał taką możliwość (prawną i medyczną), najprawdopodobniej moje życie zakończyłoby się w taki właśnie sposób.

Niestety, póki co eutanazja w Polsce jest zabroniona. I chociaż ponad połowa Polaków jest za przyspieszeniem śmierci nieuleczalnie chorych na ich prośbę, obawiam się, że jeszcze długo ten problem nie zostanie rozwiązany. Prawa osoby niepełnosprawnej nic nie znaczą w tym chorym kraju.



FOT. TOMASZ PRZYBYŚZ

TOMASZA PRZYBYSZA

3 LIPCA 2018

Raz lepiej, raz gorzej...



Początki prześlysku. Widać zaczerwienienie i opuchliznę.

W życiu osoby niepełnosprawnej zdarzają się różne momenty – raz jest dobrze, innym razem gorzej, raz wstaję z łóżka bez bólu, innym razem ledwie mogę ruszać nogami, takie są zeszytniałe...

Ostatnio znów miałem problemy z użębieniem. Jedząc kolację 13 maja (!) poczułem małe chrupnięcie. Myślałem, że w kielbasie znalazł się jakiś kawałek kości czy kamyk (czasem tak się zdarza), ale nie. Okazało się, że wypłułem kawałek zęba. Lewa górna jedynka... Wykruszyła mi się stara plomba i miałem dziurę na pół zęba. Na drugi dzień zadzwoniłem do mojej dentystki do Mosiny, żeby umówić się na wizytę. Niestety, najbliższy wolny termin był dopiero 5 czerwca (i to prywatnie, bo na NFZ czekałbym jeszcze dłużej). Mówi się trudno i czeka się na wizytę. W sumie to nie było aż tak źle, bo po dwóch dniach krawędź zęba wygładziła się i już nie obcierała mi języka. Trochę obawiałem się, jak będę wyglądał na spotkaniu w Rzeszowie, ale na szczęście większa część plomby była z tyłu, więc z przodu nie było za bardzo widać tej dziury.

Przyszedł w końcu czas na wizytę u dentystki. W środku w budynku nic się nie zmieniło, jedynie przybyło samych gabinetów (przedtem był jeden, teraz były trzy). Wjechałem do gabinetu, przyjęła mnie inna dentystka. Ale też bardzo fajna.

Powiedziałem jej o wypadnięciu plomby, o szczękostoku i braku możliwości szerokiego otwarcia ust. Obejrzała moje zęby, zapytała, czy nie chcę znieczulenia (nie chciałem), powiedziała mamie, że zabieg potrwa jakieś pół godziny i zabrała się do pracy (mama poszła w międzyczasie na zakupy). Najpierw zeszlifowała mi kawałek zęba, potem wypełniła dziurę materiałem, utwardziła specjalną lampą, w szparę między zębami wcisnęła mi kawałek jakiejś folii (tak jakby taśmy przezroczystej), wykroiła nadmiarową część, znowu wypełnienie materiałem, utwardzenie lampą, a na koniec zalepienie dziury z tyłu cementem.

Z powodu szczękostoku nie mogła mi wygładzić tego cementu, ale powiedziała że za kilka dni to się samo wygładzi od języka. W ustach miałem totalną suszę (od rurki odsysającej ślinę), język był jak kawałek podeszwy, a gdy się odezwałem, to z ust wyleciał mi obłoczek cementowego pyłu. Ale wszystko było zrobione i całkowicie bezboleśnie. O dziwo – po raz pierwszy mój pobyt u dentysty przebiegał zupełnie bez nerwów i strachu, przyjąłem to zupełnie normalnie jak na przykład wizytę w sklepie.

Teraz znów mogę jeść normalnie, dziura w zębie zaklejo- na i już nie przeszkadza, a kolor plomby jest tak dobrany, że nie ma śladu po interwencji stomatologicznej.

Ale żeby nie było tak dobrze, to odezwała się ta moja genetyczna cholera i od razu walnęła z grubej rury.

W ubiegły piątek nic nie za-

powiadało tragedii – dzień minął jak zwykle, nie było żadnych problemów ze zdrowiem. Położyłem się do łóżka, zasnąłem... w nocy obudził mnie ból lewej ręki. Z uwagi na niesprawne nogi mam w łóżku zamocowany w poprzek sznurek, który pomaga mi przekręcić się z boku na bok. Tym razem nie mogłem przekręcić się na drugi bok, bo przeciągnięcie się na lewą rękę powodowało okropny ból. Jakoś w końcu zmieniłem pozycję i zasnąłem.

Rano gdy się obudziłem, to zauważyłem, że lewa dłoń jest trochę opuchnięta i ruszanie nią sprawia mi ból. Zupełnie tak, jakby przeskoczyło mi ścięgno w przegubie.

Usiadłem na wózku, mama przyniosła mi miskę z wodą, umyłem się. Czas na śniadanie. Zjadłem z pewnym wysiłkiem, bo ręka szybko mi drętwiała i nie mogłem utrzymać w niej talerza.

Domyśliłem się, że to prawdopodobnie prześlysk, więc zaraz zadziałałem – posmarowałem opuchliznę żelem przeciwbólowym, do tego wziąłem dwie tabletki Encortonu (leku przeciwpalnego). Ból trochę zelżał. Z obiadem było gorzej, bo talerz z jedzeniem był większy i cięższy. Ale jakoś zjadłem, chociaż co chwilę musiałem odkładać talerz na stół, bo mi ręka mdlała od ciężaru i bólu. Po obiedzie oczy mi się zamknęły i przysnąłem na kilkadziesiąt minut. Obudziłem się już z mniejszym bólem, czułem głównie takie zdrętwienie ręki. Wieczorem posmarowałem przegub ponownie, poza lekkim drętwieniem nie czułem już bólu. Noc przespałem spokojnie, nawet dałem radę przekręcać się z boku na bok, ale bardzo powoli, aby nie urazić chorej ręki.

Dziś ręka od rana jest jeszcze gorąca, mimo posmarowania nadal boli. Ale być może to z powodu pogody. Póki co – zauważyłem główną zmianę...

przedtem lewą rękę w przegubie miałem ruchomą, dłoń mogłem przesuwac do przodu i do tyłu. Teraz trzymanie dłoni przegiętej w dół powoduje ból na grzbiecie dłoni, a z kolei przegięcie dłoni w górę powoduje ból ścięgna przy palcu wskazującym, także tam widać opuchliznę. Najlepiej by było, gdybym trzymał dłoń na prosto, ale tu z kolei ręka mi szybko drętwieje i długo tak nie dam rady jej trzymać. I tak źle, i tak niedobrze...

Z jednej strony to jestem wkurzony, że FOP odbiera mi sprawność w lewej ręce, ale z drugiej strony powinienem się cieszyć, że nie zaatakowała mi prawej ręki. Bo lewa ręka jest mi potrzebna do pisania na kompie czy choćby do czynności fizjologicznych, a prawą rękę potrzebuję do jedzenia, umycia się czy do obsługi komórki. Więc jest dla mnie ważniejsza.

Mam tylko nadzieję, że jest to jakiś jednorazowy wybryk i póki co, to nie będzie więcej prześlysków, zwłaszcza w tak potrzebnych mi dłoniach...



Grzbiet dłoni zaatakowany przez opuchliznę, prawdopodobnie zeszytnieje.



Zbigniew M.
Nowak
KOŁOBRZEG

Szczygieł⁽²⁾

Grupka chłopców i dziewcząt z impetem wpadła do wody, krzycząc radośnie i ochlapując się. Helena spojrzała na pływającego Huberta. Niebezpiecznie zbliżał się do falochronu. Chciała zawołać, lecz będący bliżej Mateusz krzyknął pierwszy. Hubert zawrócił i popłynął w kierunku białej boi.

– Ja też mam! – ucieszyła się Kasia znaleźskiem. – Mam sercówkę! A to? Co to jest?

– Gdzie?

– Tam, w wodzie, takie... Kisiel? Rusza się... O!

– To chęłbia, kochanie. A tam? Popatrz... rybka... – Warkot motorówki ją zagłuszył. Obie spojrzały, jak nad nimi unosi się jaskrawo ubarwiona czasza spadochronu.

– Jaki kolorowy! – zawołała Kasia.

Spłoszona śmieszka przecieciała nisko, niemal dotykając jej głowy. Nim Helena zdążyła zareagować, ptak z głośnym krzykiem odrzucił. – Czy małe dziewczynki też mogą tak latać?

– Niestety, skarbie, musisz jeszcze trochę urosnąć...

– Do niedzieli wystarczy?

– Musisz być taka jak Hubek – rzekła Helena i zerknęła na morze, by odszukać wzrokiem Huberta. Była przy nim Magda. Płynął w stronę falochronu. Chciał chyba dostać się na platformę wędkarską, z której chłopcy skakali do wody.

Helena, nie wypuszczając ręki Kasi, z coraz większym niepokojem patrzyła na syna.

– Hubek! – krzyknęła głośno, lecz była za daleko.

– Hubert! – zawołał pływający z nim Mateusz. – Ostrożnie! Rozejrzał się za Magdą. Była w pobliżu.

Hubert niepomny nawołań podpłynął do platformy. Począł, aż wyjdzie z wody chłopak będący bliżej drabinki, i sam się na nią wspiął. W kilku ruchach znalazł się na górze. Chłopak przed nim brał rozbieg, żeby skoczyć.

– Hubert! – zawołał Mateusz – Hubert! Nie skacz na główkę! Hubert!

Nie wiedział, czy syn go słyszy. Miał nadzieję. Mimo to szybko płynął w stronę platformy. Jeszcze raz zawołał:

– Hubert! Nie na główkę!

Hubert pomachał ręką i krzyknął:

– Magda! Patrz się!

Skoczył... na główkę.

– Hubert!! – ile sił w piersi krzyknęła Helena.

– Hubert! – krzyknął Mateusz.

Przerażony zaczął patrzeć, gdzie chłopak się wynurzy. Jednak on nie wypływał. Mateusz zaczął wołać: – Hubert! Hubek! – potem zanurkował. Rozejrzał się pod wodą w panice i wynurzył, nie znalazłszy syna. Hubert wciąż nie wypływał. Helena też to widziała i nogi się pod nią ugęty.

– Hubert! – zapłakała.

W momencie, w którym lek ścisnął im skronie najmocniej, który nastał po nieznośnie długim czasie, Hubert wynurzył się i niczego nieświadom, śmiejąc się, zawołał:

– Ahoj! Magda!... Tu jestem! Widziałaś?!

Mateusz potrzebował chwili, by ochłonąć.

– Hubert! – wrzasnął wściekły.

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony. Nie rozumiał...

– Hubert! Na brzeg!...

– Co, tato?!

– Na brzeg, mówię!

– Ale, tato!...

– Nie dyskutuj! Na brzeg!

„No i o co tyle wrzasków?” – odezwała się buntownicza dusza chłopaka.

– Co się stało? – spytał, będąc już całkiem blisko.

– Synu, ile razy mam ci mówić, żebyś nie skakał na główkę! – W nerwach trzasnął dłonią w wodę. – Jeszcze w domu umawialiśmy się, prawda?!

– No, tato!... – Hubert bagatelizował słowa ojca. – Krzyczysz na mnie jak na smarkacza. Przecież nic się nie stało, jak widzisz – próbował się bronić.

– Ale mogło się stać! Mogło! Słyszysz?! – krzyczał Mateusz. – Może dzieliło cię od tego nieszczęścia tylko kilka centymetrów! Może mniej! Zachowujesz się jak smarkacz! Smarkacz jesteś! Słyszysz?! Smarkacz!

– Tato, nie przesadzaj! –

Hubert posłusznie podążył za ojcem. – Nie rozumiem... co może mi się stać w wodzie?

Tak samo wystraszona czekała na brzegu Helena.

– Hubeczk! – Podbiegła do niego, kiedy wychodził z wody. – Hubeczk! – rzuciła mu się na szyję. – Serce mi zamarło... Boże, serce mi zamarło... synku... Co ty robisz? Synku... Przrzeknij, że już nigdy tak nie skoczysz. Przrzeknij!

– Mamo, ty też? Przecież wszyscy tam skakali.

– Lecz ty nie skacz, błagam cię! Nie skacz tak więcej.

– Popisów mu się zachciało! – rzucił wciąż zdenerwowany Mateusz. – Gdzie Madzia? – obejrzał się. – Jesteś. Przynajmniej ty nie robisz głupstw.

– Oj, tato!

– Posłuchaj ojca – głos uwiązał Helenie w gardle. – To nie basen, gdzie wszystko widać... tu dno może być zdradliwe, synku...

– Tam było głęboko... – Hubert jeszcze chciał coś dodać, lecz Mateusz nie pozwolił.

– Dostyc! – uciął krótko. – Proszę cię, żebyś pamiętał! Bo inaczej wracamy do domu! Jak nie, wracamy do domu!...

Raptem błogie rozleniwienie zniknęło gdzieś, uleciało pognane irytacją i złym nastrojem.

Po południu zmieniła się pogoda. Stało się to szybko i całkiem niespodziewanie. Raptem z północy nadciągnęły cumulonimbuse i niczym szczelna kotara zakryły słońce. Plaża przestała być atrakcyjna. W wodzie, nagle schłodzonej prądem z Zatoki Fińskiej, zostało tylko paru strażników – sinych i zeszywniałych, bo ziało morza przesyłało aż do szpiku kości.

Życie przeniosło się na nadbrzeżny bulwar. Teraz tu zrobiło się rojno i zapanował gwar. Ludzie spacerowali, a wiejący od lądu wiatr trzepotał kolorową mieszkanką wakacyjnych okryć i płóciennymi dachami różnorodnych kramów, budek i stoisk z rozmaitym towarem stojących wzdłuż deptaku.

Kamińscy również wybra-

li się między stragany poglądac, może wybrać jakieś pamiątki.... Różnej wielkości muszle wyrzucone przez fale Morza Czerwonego, konchy właściwe wyspom południowym, wyroby z kokosów i bambusa leżały niemal na każdym stoisku. Wczasowicze kręcili się, przystawali, czasem brali coś do ręki, niekiedy coś kupowali i szli dalej gnani ciekawością wszystkiego, co tu było zniesione, i każdego, kto tu przyszedł.

Mateusz z Kasią na rękach gubił się czasem, bo Helena i Madzia, co rusz czymś za-intrygowane, przystawały na dłużej, a Hubert, niczym wolny elektron, krążył po wszystkich orbitach. Tak wolno, by nie rzec – flegmatycznie, przemieszczali się między straganikami, potrąceni przez przechodniów, objając się o nich – zagapionych, i sami potrącając innych.

– Magda! Hubert! Chodźcie tu! Popatrzcie! – Helena pokazywała szklaną butlę. – Zobacz, Huberku... W sam raz na nasz kominek, co? Jak myślisz? – Podała mu ją.

W środku mały stateczek z dumą wypinał żagle.

– Jak on tam został włożony? – zaciekawiła się Magda.

– Pewnie przez odcięte dno – z przekonaniem odparł Hubert.

Dziewczyna uniosła butlę i spojrzała pod światło.

– Nie widać, żeby była sklejana – rzekła.

– Pokaż...

– To co, kupujemy? – pytała Helena.

– Na kominku będzie nieźle wyglądać – potwierdził Hubert.

– Biorę – zdecydowała się Helena. – Wezmę dwie, jedną dla ciebie, Madziu... A gdzie ojciec poszedł z Kasią? – rozejrzała się.

– Tam, przy cukrowej wacie – powiedziała Magda, pokazując za siebie.

Kasia z cierpliwością, na jaką tylko może być stała przed rozgrzanym aparatem, gdzie zwykły cukier jakimś cudem zmieniał się w marzenie. Starszy mężczy-

zna z plastikowym daszkiem na głowie nawijał je na długi patyk, którym obracał, trzymając w artretycznej dłoni, i ochryplym głosem co chwilę wykrzykiwał:

– Atrakcja Bałtyku, wata na patyku!... Wata! Wata cukrowa! Smaczna i zdrowa!

– Tu jesteście! – Helena podeszła, kiedy Kasia odbierała wate.

– Kupiliście coś? – zapytał Mateusz.

– Statek w butelce. – Helena sięgnęła do torby. – Spójrz, jaka piękna w środku fregata.

– Podoba mi się... W sam raz na kominek.

Kilkadziesiąt kroków dalej powietrze zapachniało spieczonym olejem.

– Frytki, frytki, chodźcie goście i kobitki! – dobiegło stamtąd zawołanie wysokiego mężczyzny w kapitańskiej czapce.

– Krówki i króweczki... dla dziewczyny i dziewczynki! – wołał obok opalony gość, a z przeciwległego stoiska przekrzykiwał go inny, gruby blondyn:

– Landrynki, landrynki! Dla chłopaczka i dziewczynki!

Kasia jeszcze nie skończyła jeść waty, ale gdyby nie przeszła dalej, z pewnością nabrałaby apetytu na landrynki.

– Kto im układa te rymy częstochowskie? – rzekła zdeglustowana Magda. – W każdej budzie poeta...

Szturchnęła Huberta i zwołała kroku. Za chwilę, odrzucając do tyłu gruby warkocz, w który spłótła swoje gęste, jasnorude włosy, wzięła kurs na mężczyznę w kapitańskiej czapce. Ten na jej widok bezwiednie zrobił minę głodnego karpia.

„Zatkało go” – w duchu szepnęła Hubert. Nieraz obserwował takie reakcje mężczyzn na urodę Magdy. Świadomość, że zdobył najładniejszą dziewczynę w szkole, napawała go niepomierną dumą i łechtała jego próżność. Jak wszyscy w tym wieku, miał niezłomną pewność, że osiągnie w życiu wszystko, czego zechce, jeżeli tylko coś takiego będzie istniało.

Wiedział, że Magda ruszyła w stronę tej budki, bo znała jego słabość do frytek. Za dobrze wypieczone frytki oddałby wszystko – buty, co tam buty! Oddałby jeszcze koszulkę, a nawet więcej, nawet dwie koszulki, buty i spodnie, niechby te, które miał na sobie, pieczołowicie wytarte wrangle ry na dodatek. Tak lubił frytki.

Ale najwyraźniej tylko on miał na nie ochotę.

– Chodźmy lepiej na tego turbota! – zaproponowała Helena. – Tam dalej jest smażalnia. Może choć tam nikt nie będzie się wydzierał.

ROZDZIAŁ 2

W południe zaczęła się ulewa. Dopiero wieczorem deszcz zelżał, ale nie przestawał padać. Padał tak przez dwa następne dni. Cóż mieli robić, skończyło się plażowanie i jakoś trzeba było tę niepomyślność przeczekać. Chodzili więc na bulwar, spacerowali po plaży i wdychali powietrze przesiąknięte jodem, podziwiając oszalałe morze, które w niczym nie przypominało tego sprzed kilku dni. Już nie pluskało łagodnie i mile, już nie było tak przyjazne. Teraz falami o pienistych, białych grzywach, gnany wiatrem w dzikim ryku, piętrzyło się i przewalało całą swoją rozpędzoną, bezwładną masą. Potężny ogień wody wypływał z ciemnych głębin i poruszał się wściekle, ponaglany z tyłu przez następne, jeszcze wścieklejsze i jeszcze potężniejsze tonie. Wzburzone uderzało wysokimi bałwanami raz po raz w brzeg z zapamiętaniem, jakby w swej furii chciało pożreć jak najwięcej plaży, pochłoniąć ją aż do wydm, i z grzmotem rozbijało się o falochrony.

Wkrótce wilgoć powietrza stała się przejmująca i w chacie trzeba było uruchomić ogrzewanie.

– Kto teraz rzuca? – spytała Helena. Podrzucała trzymanymi w dłoni kostkami. Pochyleni w czwórce nad planszą (Magda, mimo wczesnej pory, poszła spać) ścigali się pionkami.

– Teraz ja rzucam – odpisał Hubert i wziął kości.

– Przykręć trochę grzejnik – powiedział Mateusz – bo robi się za ciepło.

– Leje i leje... – Helena spojrzała w okno i westchnęła. – Będzie tak padać do końca urlopu? Do tego jeszcze ten wiatr. Podobno jest jedenaście w skali Beauforta. Mam nadzieję, że nie rozniesie tej chaty.

Rozejrzała się.

– I ciekawe, jak tam nasz dom... – westchnęła. – Chyba Kuligowscy zaglądają tam, co? Mateusz?

– Ja myślę...

Helena sięgnęła wspomnieniem do pierwszego spotkania z sąsiadami.

*

Kobieta w za dużych, męskich gumofilcach i kraciastej chustce zawiązanej pod brodą na pokazny węzeł, gdy ją dostrzegła, postawiła aluminiową kanę na progu. Przymrużonymi oczami patrzyła, jak omijając kałuże roztoplanej gnojowicy, idzie przez podwórze z Kasią na rękach.

– Dzień dobry! – zawołała Helena już z daleka, jednak kobieta nie odpowiedziała. Czekala, aż podejdziesz bliżej. Przekrzywioną chustkę przesunęła bardziej do tyłu, odsłaniając pobrużdżone czoło, i grzbietem ręki wytarła spocną twarz.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry – z pewną nieufnością odparła kobieta.

– Nazywam się Helena Chorażewicz-Kamińska. Właśnie zamieszkaliśmy w tym nowym domu... I jak by nie pa-trzeć, jesteśmy po sąsiedzku...

– Więc jużście się sprowadzili?

– Właśnie tak, Kamińska jestem – rzekła Helena. – Lucy-na Kuligowska – przedstawiła się tamta.

Mroczną sienią przeszły do kuchni, gdzie pod oknem przy długiej ławie siedział mężczyzna w czapce uszance. Stół, na którym trzymał rękę z papierosem, nakryty był sfatygowaną ceratą w niebieską kratę. Obok ręki stały niedopita herbata i cukiernica z pudełką po landrynkach.

– Mamy gościa! – zawołała pani Lucy-na. – Pani Kamińska z tego nowego domu.

– Aaa! Miło poznać! Miło – odparł mężczyzna, wychodząc zza ławy. – Byliśmy ciekawi, kto też buduje się na naszej miedzy. Marian jestem – pochylił się i głośno cmoknął dłoń Heleny.

– Proszę – zaprosił. – Proszę... Może mlekiem poczęstujemy? – zapytał.

– Prawdziwym, od krowy – zachwiała już zupełnie swobodna kobieta. – Ja poniekąd w sprawie miedzy przyszedłam – oznajmiła Helena.

– Jaka to miedza? Kawałek płotu i tyle. Chcemy naszą działkę obsadzić drzewami, głównie owocowymi, i nie wiemy, jaką zachować odległość od granicy z państwem.

– I to panią martwi? – zaśmiała się Kuligowska. To taki kawał od nas... Nawet gdybyście las tam posadzili – śmiała się.

– A sadźcie na zdrowie! –

rzekł Marian rubasznym głosem.

– To dobrze – uradowała się Helena. Spodobał jej się ci ludzie. Już teraz była pewna, że będą udanymi sąsiadami. – A co do mleka...

– Jak będzie potrzeba, to naturalnie, zapraszamy.

– Dla dziewczynki odlejemy, jeszcze ciepłego, prosto z udoju – dodał Kuligowski. – Jak masz na imię, krasnalku?

– Przedstaw się, kochanie – szepnęła Helena.

– Kasia – odparła dziewczynka równie cicho.

– Kasieńka... Cudna dziewczuszka.

– No, to dla Kasienki codziennie mleka damy. Przyjdzie pani?

– Naturalnie! – z radością odrzekła Helena. – Chętnie kupię nawet i więcej... Słyszysz, Kasiu? Będziemy mieli świeżutkie mleczko.

– Ale nie potrzeba pieniędzy! – zastrzegł mężczyzna.

– Ten litr, dwa, zawsze można odlać – wtrąciła kobieta.

– Będę wdzięczna, ale cenę musimy ustalić. To państwa praca i musi być wynagrodzona. Inaczej czuliśmy się wobec państwa bardzo nie w porządku.

– Skoro tak – zgodziła się Kuligowska – ustalimy kiedyś. Mamy też jaja, śmietanę i ser. Czasem jakaś cielęcina się trafi... bo cielaki też bijemy.

– Znacomie. Będę zachodzić, jeśli państwo sprzedają.

cdn.



Książka wydana nakładem Wydawnictwa BIS

ul. Łędzka 44a

01-446 Warszawa

tel. (22) 877-27-05, 877-40-33;

fax (22) 837-10-84

bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

FILANTROP NASZYCH CZASÓW

Miesięcznik

REDAKCJA:

Marcin Bajerowicz – redaktor naczelny,
Karolina Kasprzak – zastępca redaktora
naczelnego, Stanisław Furmaniak, Andrzej
Grzelachowski Aga, Sylwia Kośmider,
Zbigniew Strugała, Robert Wrzesiński.

ADRES REDAKCJI:

60-681 Poznań
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
tel. 822-64-54, kom. 608-311-903
e-mail: mbajerowicz@wp.pl
www.jadwiga.org

WYDAWCA:

Fundacja Pomocy Osobom
Niepełnosprawnym „Filantrop”
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
60-681 Poznań
tel. 608-311-903, 61-8226-454,
www.filantrop.org.pl

KONTO:

BZ WBK SA VI/O Poznań
28-1090-1362-0000-0001-0665-8259

DRUK:

DRUKARNIA „KOM-DRUK”
Grzegorz Komisarek
ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań
tel. 618 172 206,
e-mail: komdruk@wp.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
skrótów i zmian w nadsyłanych
materiałach oraz nie bierze
odpowiedzialności za ich autorstwo.

Za treść reklam i ogłoszeń
redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Jerzy
Szulc
WARSZAWA

ERUDYCJA

Nie sił się tumanie
Na uczone słowa,
Gdy masz kit czerwony
Wciśnięty do głowy.

OPCJA ZEROWA

Wszy pozbyć się można
Czasami dopiero,
Gdy się łeb kudłaty
Ogoli na zero.

GOŚCINNOŚĆ

Wtedy ugoszczony
Jest gościnnie gość,
Kiedy z nóg go ścina
To, czego ma dość.

ZAŚLEPIENIE

Nie wszystkie problemy
Są w polu widzenia,
Jeżeli się dąży
Tylko do zbliżenia.

TOAST

No to chlup kochani,
Wypijmy za zdrówko,

Fraszki

A kto nie wypije,
W łeb go półlitrowką.

PECH

Ten, kto ma pecha
I mu się nie wiedzie,
To może smarować,
Ale nie pojedzie.

POCZWÓRNY

By zapomnieć o tym,
Że się z nią pokłócił,
Poszedł na jednego...
A na czterech wrócił.

PRZEMARZNIĘTY

Wypił na rozgrzewkę,
A gdy miał już dość,
To tak się rozpałił,
Że zamarzał na kość.

KONSERWATYZM

Nim zaczniesz wypruwać
Z konserwy wnętrzości
Rzuć krytycznym okiem
Na datę ważności.

ZERO

Jest mu wszystko jedno,
Co wokół się dzieje.
Ani go to ziębi,
Ani go to grzeje.

NIEBOTYCZNOŚĆ

Żeby być szczęśliwym
I trafić do nieba,
Przez piekło na ziemi
Niestety przejść trzeba.

POPRAWA

Po udanej nocy
Nie zawsze człowieka
Rozochoczonego
Lepsze jutro czeka.

TELEPATIA

Gdy miał ciepła mało,
To go telepało.

NIEWINIĄTKO

Ani w nim krztyny
Poczucia winy.

DOŻYWOCIE

Trafił do kicia
Na resztę życia.

RYS. ANDRZEJ ROSSA



Co koń wyskoczy

AUTOREM HUMORESKI JEST ZBIGNIEW NOWAK

*Do Mości
towarzysza
chorągwi husarskiej
autoramentu
narodowego
8 miesiąca,
jako to w augustie
roku Pańskiego
2018 pisane...*

*Panie Bracie,
Towarzyszu
i Przyjacielu
mój serdeczny,
Gabryjelu!*

Piszę do Ciebie list ony ze sławnego grodu nad morzem naszym, co od pradawnych Bałtów miano swe wywodzi, jeszcze przez naszych starych Piastów bohaterskim orężem na chwałę naszej Najjaśniejszej Ojczyzny, w imię Ojca i Syna... był zdobyty, żeby sól warzyć z tutejszych ruczajów, co normalnie pić się ich nie da, takie to słone, tfu! i skarb koronny pomnażać. I dla wczasowania jest on dobry, dla kuracji rozmaitych jako to leżenie zagrzebionym w białym piachu nadmorskim, lubo w czarnym i cuchnącym błocie, tfu! dla zdrowia pono, na wszelakie lumbagi i strzykania w krzyżach, także na kiszki w różnych wójczkach dla Ojczyzny młóć ratowania mocno sterane i z racji wieku wapnem podeszłe, jest najlepsze.

Gród ony Kołobrzegiem zowią, choć szwabskie heretyki, jako że najdłużej tu siedzą, tudzież na naszą złość, po hanzeatycku Kolbergiem go mianują. Tak Cię tedy przyjacielu mój niezłomny, z onego grodu pozdrawiam i błogosławię, w imię Ojca i Syna... choć nie wiem, czy mi jako świeckiemu wolno. Z czym tam do dobrodzieja księdza kanonika, który także wiarus jako my pancerny, pójdę i może będzie mi od-



GRAFIKA ZBIGNIEWA NOWAKA

puszczone... A przytarabanił byś się tutaj Waszeć, boś jako i ja już trochę spierniczały i niechybnie niewygody obozowego życia, jako to spanie na mokrej ziemi, tudzież ryb w przereblach gołymi łapami chwytanie, w kościach odczuwać zacznieś. Przeto przyjeżdżaj do onego piachu i błocka, a ja Ci towarzyszu pancerny, kwaterę u siebie dla Twej wygody udanie wyמושczę.

Przyznam się Mości Gabryjelu, że teraz ciut nietęgo mi się pisze, bo widzisz mój druhu, piór do skrobania mi braknie. To jedyne, co to mi się jeno ostało, co żem go z ostatniego gajora na św. Patryka zarżniętego i zżartego z miernym smakiem, bo psiajucha chudy był i gnaty z niego sterczały, jak widzisz same żydy robi. To też i z winy węgrzyna, co żem go sobie w gąsiorze od sióstr dominikanek

z pielgrzymki przywiózł i teraz przed samym pisaniem do Ciebie zdrowom gołnął. Łeb, Waś pamiętasz, mocny mam, jak nie przymierzając koń roboczy i nawet antał miodu w czub mi nie uderza. Jeno ten wicher co tu ciągiem wieje i eter z onego błocka się dobywający w dziwną konsyliację z wydudlonym trunkiem weszły i trzeźwy umysł mączę.

A jako Tobie mój druhu się wiedzie? Obrodziła latoś saradela, a wyka? A pamiętaj o rzepaku... Deszczów ostatnio niewiele, co i dla sianokosów dobre i dla mnie, bo mi się, jako i Tobie, stare rany mnię we znaki dają. A pies Twój Nepomucenus, co to jakieś pisał ostatnio, że okulał i do kola sy go przyprzegnąć nie mogłeś, zdrów już? A psiakręć! To nie pies był, jeno koń twój Nepomucenus Siódmy, bo siódmy już

jest po tamtych sześciu Nepomucenusach, co w polu padły od strzał tych kundli wrażliwych, tfu! Tatarów. Niech im, tym wszystkim Nepomucenom rzecz jasna, ziemia lekką będzie, w imię Ojca i Syna... Niebożęta w służbie naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej szyć daty. A same Tatary, kozie syny, dalej kupami, jak onegdaj, gdyśmy razem do społu pod tę samą chorągwią kompanionów w pole chadzali, czambułami od samej zwiesny po stepach zapadają? Tfu! Polowali kozie bobki na nasze białogłowy, urodziwe niebogi, żeby je później na arkanach, tudzież arbami w jasyr powlec do bisurmanów za Bosfor, albo i do samego chana co w Złotej Ordzie na dupie pies niewierny siedzi i szisze sobie pali, nam zostawiając jeno stare i brzydkie pokraki, tfu!

Uff, we łbie mi się mąci i na ślepa słabować zaczynam. Chyba sfatygowane cielsko w pierzynach złożę i tęgiego komara przytnę, bo inaczej więcej nie wydołę... Tako też Bogu Waści polecam i wszystkim komunikom świętych. Niech Cię, mój Gabryjelu, wspierają pod przewodnictwem samego św. Gabryjela w Twym dziele dla wszytkiego pożytku naszej Najjaśniejszej. Siej i zbieraj Waszeć w obfitości, jak to panu bratu przystało, czego z serca najszczerzego Ci życzę, w imię Ojca i Syna...

*Waści kompanijon
w rycerskiej służbie
Ojczyźnie
u prześwietnych
husarżów chorągwi –*

*Zbych Markus
Paliwoda –*

*Co koń wyskoczy,
rotmistrz koronny*



Zbigniew
Strugała
ORZECHOWO

Pracownicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Czeszewie 21 czerwca zorganizowali piknik integracyjno-edukacyjny dla osób niepełnosprawnych „Czeszewska Ścieżka Edukacji Leśnej”.

Byli z nami: burmistrz Gminy Miłosław Zbigniew Skikiewicz, dyrektor PCPR we Wrześni Anna Kulczyńska, delegacje z zaprzyjaźnionych WTZ-etów w Środzie, Jarocinie, Rudzie Komorskiej, Wrześni i Babinie oraz ze środowiskowych domów samopomocy w Pietrzykowie i Gozdowie.

Ścieżką przez las

Udaliśmy się do Ośrodka Edukacji Leśnej, gdzie leśnicy opowiadali o lesie i jego mieszkańcach. Następnie przeprawiliśmy się promem przez Wartę. Podziwialiśmy Żerkowsko-Czeszewski Park Krajobrazowy, gdzie terenie rezerwatu poznaliśmy ścieżkę edukacyjną, o której opowiadali nam leśnicy. Były też konkursy i wspólne zabawy, a na polu biwakowym można było posiedzieć, porozmawiać i odpocząć. Cieszymy, że w ten sposób spędziliśmy z przyjaciółmi pierwszy dzień lata.



Przeprawa promem przez Wartę.



Malowanie balonów.



Na edukacyjnej ścieżce.



W rezerwacie przyrody „Czeszewski Las”.



Wyścigi w workach.

Rowerem po sprawność

14 czerwca we wsi Biadki pod Krotoszymem w województwie wielkopolskim odbył się rajd rowerowy dla osób niepełnosprawnych. Celem była integracja uczestników z miejscową społecznością, zdrowa rywalizacja, popularyzacja tej dyscypliny sportu, podnoszenie sprawności fizycznej.

Organizatorami zawodów byli: Wielkopolski Związek Kolarski, Fundusz Inicjatyw Obywatelskich, Ministerstwo Sportu i Turystyki oraz władze Krotoszyna. Trasa o długości około 1,9 km przebiegała wokół wsi Biadki. Start i meta znajdowały się przy budynku Szkoły Podstawowej im. Mikołaja Kopernika przy ulicy Szkolnej 3. W zawodach brało udział kilka ekip, w tym również uczestnicy warsztatów terapii zajęciowej w Kaliszu, Przygodzicach i Ostrowie Wielkopolskim, działających przy Fundacji Inwalidów i Osób Nie-

pełnosprawnych „Miłosierdzie” w Kaliszu.

Uczestnicy WTZ w Przygodzicach korzystali z rowerów miejskich wypożyczonych w Ostrowie. Podczas wyścigu wszyscy zawodnicy doskonale się bawili, a cele imprezy zostały w pełni zrealizowane.

MARIUSZ PATYSIAK



FOT. (2X) ARCHIWUM FUNDACJI „MIŁOSIERDZIE”

Kwiaty i broszki z wełny



W Ośrodku Kultury w Kleszczewie 5 lipca grupa seniorów filcowała z wełny czesankowej piękne kwiaty jako broszki do ubrań oraz inne ozdoby. Warsztatowe zajęcia rozwijają sprawność manualną oraz służą zdrowiu fizycznemu i psychicznemu osób starszych.

W pracach ręcznych uczestniczą także osoby z niepełnosprawnościami, dla których tworzenie interesujących dzieł jest również wysoce terapeutyczne. Warsztaty te realizowane są ramach projektu „Siedmiomiesięczny czas w klubie seniora w Kleszczewie”, na który miejscowe Stowarzyszenie „Pomagam” otrzymało dotację Wójta Gminy Kleszczewo.

MIROŚŁAWA RADZIMSKA

DRUKARNIA

KOM - DRUK

DRUK DO FORMATU B2

ULOTKI I PLAKATY

WIZYTÓWKI

KSIĄŻKI

FOLDERY

KALENDARZE

SZTANCOWANIE

PROJEKTOWANIE GRAFICZNE

DRUK OFFSETOWY I CYFROWY

ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań

tel. 618 172 206

www.komdruk.pl | mail: komdruk@wp.pl



NEUROLOGICZNY NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ

CENTRUM LECZENIA STWARDNIENIA ROZSIANEGO OŚRODEK BADAŃ KLINICZNYCH

im. dr n. med. Hanki Hertmanowskiej

Jeśli bliska Tobie osoba ma problemy:

- z zapamiętywaniem informacji
- z odtwarzaniem zapamiętanych treści
- czuje się zagubiona
- okazuje cechy pobudzenia ruchowego lub słownego

Może to choroba Alzheimera, a może łagodne zaburzenia pamięci?

TRZEBA TO ZDIAGNOZOWAĆ!

Zapraszamy na bezpłatne wstępne konsultacje neurologiczne



62-064 Plewiska, ul. Fabianowska 40

tel. **61-863-00-68** lub **506-444-900**

(w godz. od 10 do 16, od poniedziałku do piątku)

www.hertmanowska.pl

e-mail: neurologiczny.nzoz@gmail.com